

ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 3 18.I.1936 R.

w n u m e r z e:

L. Chrzanowski
Zabić szarego człowieka

H. Korolec - Bujakowska
Od Warszawy do Szanghaju
[reportaż z podróży przez Indie]

Wł. Łukasik
Przygody młodego monteru
[feljeton]

W. Bunikiewicz
Życie w kałorach [powieść]

J. Surynowa -
Wyczółkowska
Kobieta - i baśń [powieść]

P o ł ó w P e r e ł

Teatr. Rewja. Film. Humor
zagraniczny. Anegdoty

ALINA ŻELISKA
młoda artystka Teatru Narodowego, gra z powodzeniem jedną z ważniejszych ról w świetnej sztuce A. Nowaczyńskiego „Wielki Fryderyk”.



FOT. J. MAIARSKI

Humorysta w życiu codziennym

Mark Twain leżał obłożnie chory w szpitalu. Lekarze przepisali mu ścisłą dietę. Głód jednak dawał się pisarzowi mocno we znaki.

— Czy mógłbym coś zjeść? — zapytał pielęgnującą go siostrę.

Pielęgniarka, stosując się do zaleceń lekarzy, przyniosła mu łyżeczkę mleka.

— Ależ to zamało.

— Więcej nie wolno, mr. Twain.

— Ha, trudno. Teraz chciałbym sobie trochę poczytać. Może siostra przyniesie mi znaczek pocztowy.

*

Mark Twain, przechadzając się kiedyś z przyjaciółmi opodal wiejskiego cmentarza, zauważył kilku ludzi z narzędziami mierzniczymi.

— Co panowie tu robią? — zapytał jednego z nich.

— Przeprowadzamy pomiary cmentarza, wokoło którego ma stanąć mur.

— Mur wokoło cmentarza? — zdziwił się Twain. — Ależ to chyba zbyteczne. Przecież ci, którzy tam spoczywają, nie mają możliwości stamtąd się wydostać, a ci, którzy są jeszcze zewnątrz cmentarza, nie kwapią się zgola, by tam się znaleźć. Poco w takim razie trwonić grosz na niepotrzebne wydatki?

*

Mark Twain obecny był kiedyś na odczycie pewnego słynnego profesora.

Gdy uczony skończył prelekcję, genjalny kpiarz podszedł do niego, przedstawił mu się i rzekł:

— Pański wykład był świetny, ale niestety mam w domu książkę, która już zawiera wszystko od A do Z, co pan wygłaszał. Przyślę panu jutro tę książkę.

Nazajutrz profesor otrzymał gruby słownik.

*

Mark Twain nie znośił wywiadów. W ciekawy i godny naśladowania sposób

zmusił kiedyś do rejterady pewnego reportera, który zgłosił się do niego w celu uzyskania wywiadu. Dziennikarz zaczął wypytywać pisarza o szczegóły z życia rodzinnego.

— Czy ma pan, albo może miał pan rodzeństwo?

— Tak — odparł Twain z rezygnacją. — Miałem brata.

— Nie żyje już?

— Niestety — odrzekł Twain.

— Umarł bardzo młodo, mając zaledwie dwa tygodnie. Byliśmy zresztą bliźniakami, tak podobnymi do siebie, że nikt nie mógł nas odróżnić. Zawsze nas zamieniano. Kiedy mój brat, biedny Bill, umarł — nie wiadomo właściwie, czy to był on, czy ja. Otóż zdradzę panu teraz pewną tajemnicę. Przypuszczalnie to byłem ja. Ponieważ brat mój miał małe znamię macierzyste na wierzchu lewej ręki. I dziwnym sposobem to właśnie znamię znajduje się na mojej ręce. Najprawdopodobniej więc ja wcale nie jestem sobą, ale moim bratem, który żyje nadal w mojej osobie, podczas, gdy ja sam dawno już umarłem. Tak, tak, trudno jest doprawdy połapać się w tych stosunkach rodzinnych...

Usłyszawszy to, młody „interviewista” bąknął coś pod nosem i drżąc na całym ciele, wysunął się z pokoju.

*

Jakiś potentat napisał list do Marka Twaina, nie otrzymał jednak od pisarza żadnej odpowiedzi. Oburzony tak długim milczeniem bogacz posłał wielkiemu humorysty papier oraz znaczek pocztowy, jako przejrzyście aluzję.

Mark Twain odpowiedział wówczas na kartce pocztowej:

— Papier i znaczek otrzymałem. Proszę jeszcze o przysłanie koperty.

*

Podczas swego pobytu w Anglii autor „Przygód Hucka”

otrzymał list z dołączoną fotografią:

— Czcigodny mistrzu! — pisał autor listu. — Miałem przyjemność widzieć pana na ulicy i stwierdziłem uderzające podobieństwo między Nim a mną. Przesyłam Panu tedy swą fotografię, aby zechciał Pan osobiście o tem się przekonać.

Mark Twain odpowiedział odwrotną pocztą:

— Dziękuję panu serdecznie za fotografię. Ma pan zupełną słuszość, i przyznam nawet, że pańska fotografia jest bardziej do mnie podobna, niż ja sam. Zawiesiłem ją sobie w łazience i używam ją zamiast lusterka przy goleniu.

*

O tem, że Mark Twain pisał świetne książki, wie cały świat. Nie wszyscy jednak wiedzą, że był on również akcjonariuszem wielkiej firmy wydawniczej, która drukowała jego utwory. Pewnego razu, potrzebując pilnie egzemplarza swej powieści „Tom Sawyer”, wszedł do najbliższej księgarni i poprosił o tę książkę.

— Jako współwłaścicielowi wydawnictwa udzieli mi pan zapewne 50% rabatu? — rzekł do księgarza.

— Owszem.

— Pozatem jestem również autorem tej książki — oświadczył dalej Mark Twain z uśmiechem — i z tego tytułu przysługuje mi również 50% zniżki.

— Oczywiście, mr. Twain — zgodził się księgarz.

— A następnie jako stały pański klient otrzymam chyba jak zwykle 25% opustu.

— A jakże, mr. Twain.

— Ile więc płacę za tę książkę.

— Nic. Należy się panu jeszcze od nas 50 centów...

(m. gł.)



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXI. Nr. 3

18.I.1936

ŚNIEG, SŁOŃCE I NARTY

SEMAL

W Davos sezon narciarski w całej pełni.



Ośnieżone zbocza gór rozrywają narciarzy.



Zabić szarego człowieka!

„Frontem do szarego człowieka!”.

Szary człowiek.

Co za przykry plastycznie symbol.

„Szare mury więzienne”, „dzień był przykry, dżdżysty, jesienny, szary”, „szara nuda”, „szarzyzna dnia powszedniego” — oto określenia, próbki zdań z literatury i publicystyki, zdań utartych, używanych przy opisie rzeczy przykrych, nużących. Zdania te przeszły w życie, w pojęcia, stały się synonimami dokuczliwych nastroi i wrażeń.

Nawet dla określenia — ubrania, sukni — o ile odbiegają one od włosienicy i „szarego munduru”, mówimy „popielata”, gdy chcemy je korzystniej ocenić.

„Szarzyzna”, „szary”, coś przynębiającego, przycinającego do ziemi mieści się w tych określeniach, zrodzonych z rymu i jesiennego deszczu.

Nagle — ni stąd, ni zowąd — określenie to w zestawieniu z rzeczownikiem „człowiek” ustawione zostało na piedestale trosk społecznych.

„Szary człowiek!”

W tem zdaniu zadźwięczały nuty nieznane, obce określeniu „szary”. Demokratyczna masowość zjawiska uszlachetnić miała jego symboliczną przeciętność. Soczysty ton opiekuństwa miał mu dodać nimbu dobroci i jakby troskliwości społecznej całego świata.

Szary człowiek stał się bohaterem.

Oczy rządów zachodziły łzawą wilgocią, gdy o nim mówiono. Troska o sen, jadło, dach nad głową, uśmiech szarego człowieka stały się „naczelnym nastawieniem” czynników miarodajnych. „Podejdźcie do tego zagadnienia” — najważniejszym zadaniem „sfer ustawodawczych”. „Na odcinku szarzyzny” wszystko zaczęto robić, aby „szary człowiek” pisał z radości i dobrobytu. Ustawiono się do niego frontem.

Stworzono szarego człowieka!

I to właśnie stało się nieszczęściem narodów!

Żałobny człowiek, upośledzony człowiek, przynębiony człowiek,

smutny człowiek, o ile się do jego nędzy i smutku będzie stawiało frontem — nawet na największą baczność — będzie mimowoli tylko kultywował swoje upośledzenie i szarzyznę.

A tymczasem, niestety, szary człowiek stał się symbolem naszych czasów. Wywołano go z szarzyzny życia, stworzono go i próbuje się go utrwalić, ustabilizować, próbuje się właśnie upowszechnić ludzkość na szaro.

Na tem polega nieszczęście szarego człowieka, że nikt dotąd nie chce go unicestwić, nikt nie chce zabić szarego człowieka. — Jego się właśnie pielęgnuje.

A tymczasem trzeba zdecydowanie, donośnie, stanowczo krzyknąć: „Precz z szarym człowiekiem — bo to symbol zaniku godności ludzkiej, symbol zaniku odpowiedzialności, odwagi cywilnej, siły twórczej!”

W tem pojęciu ludzkość ma się składać z bezwolnych, znużonych wyrobników, a nie ze świadomych, energicznych pracowników społecznych, pracowników tworzących nowe wartości i nowe dobra.

Człowiek znający swoją wartość, pragnący zwycięstwa w życiu, może być człowiekiem radosnym, może płonąć wiarą, tryskać zapalem. Z setek, z tysięcy podobnych jednostek powstaje i istnieje dopiero twórczy, wolny, silny naród.

Tylko człowiek — przybity, człowiek wyzbywający się swych praw obywatelskich może godzić się na określenie „szarego człowieka”, wlokąc za sobą jako nieuchronne konsekwencje niezgultstwo i zebraczą obojętność!

Gromady szarych ludzi — to nie narody, lecz zaledwie tło dziejów. To nie obywatele, lecz tłum, do którego równie dobrze można stawać frontem, jak tyłem!

Więc skończmy z tem niesławnym pojęciem. Precz z szarym człowiekiem, czekającym ciągle na ciosy lub łaskę państwa.

Wiek dziewiętnasty był wyzwoleniem człowieka. Jednostka walczyła, o swe prawa, o swą godność. Wszystkie ruchy społeczne i narodowe wyzwalały i

utrzymywały tę godność. Jednostki świadome, szczące się swymi wewnętrznymi walorami, tworzyły coraz godniejsze społeczeństwa, coraz dumniejsze narody i państwa.

Państwa stawały się terytoriami, technicznymi aparatami, służącymi woli swych coraz bardziej świadomych i idących ku wyżynom społeczeństw.

Dopiero po wojnie zaczęły się tworzyć niemrawe gromady, zamiast społeczeństw, dopiero po wojnie zaczęły się rozpleniać „szarzy ludzie”. *Bo cechą szarego człowieka jest brak wiary.* A ten brak wiary zaczęli szerzyć ci, co postanowili wszystko „lepiej wiedzieć”, co „ciężar” myślenia zaczęli zdejmować z głowy obywatela, co wybawiali go z troski kierowania losami narodów, co postanowili na zachodzie i wschodzie, na południu i północy wytworzyć *zaprodomowane* kadry rządzących.

Tylko tego typu twórcom dziejów i historii niezbędny jest „szary człowiek”, którym trzeba się opiekować, któremu daje się w najlepszym razie pracę a zabiera świadomość, któremu nie każe się nawet indywidualnie myśleć o przyszłości, bo tę przyszłość bierze w pacht maszynowa instytucja biurokratyzmu.

Tylko w tych warunkach zwięzienia zainteresowań i świadomości rodzą się na kamieniu zastępy bierników i dopełniaczy społecznych zamiast obywateli. Tylko w tych wypadkach to tu, to tam co jakiś czas wybuchają „kryzysy zaufania”.

Skąd mogą być kryzysy, kiedy zaufania wogóle niema, bo niewiara we wszystko zastąpiła wiarę w najszerszym pojęciu tego słowa? Z niewiary, z braku zaufania zrodził się „szary człowiek”. Zabić go — to dokonać połowy drogi do odrodzenia ludzi i ludzkości. Czynniki miarodajne, rządy, które nie stawianiem szarego człowieka i stworzenie radosnego, twórczego, decydującego obywatela postawią sobie za zadanie — zasłużą na wieczną pamięć.

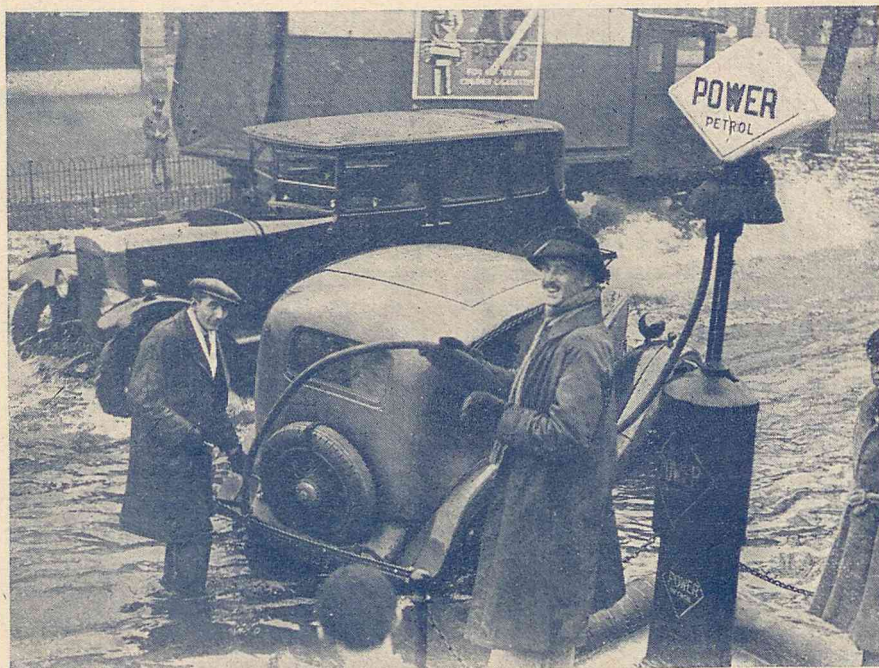
POWODZIE W CAŁEJ EUROPIE



Niebywałe powodzie niewiedziły tej zimy niemal wszystkie kraje środkowej i zachodniej Europy.



Zdjęcie powyżej dokonane zostało w mieście Maidonhead w południowej Anglii. Autobusy, samochody, rowery krążą po ulicach, zatopione po osie kół. Młoda, wesoła sportsmenka nie przejmując się niczym i stwarzając nowy sport: daje się na desce ciągnąć za samochodem.



Cała dolina Tamizy zalana. Zdjęcie powyżej dowodzi jednak, że dzielnicy automobiliści nie tracą humoru i z uśmiechem nabierają benzynę z zatopionej pompy do zatopionego auta na zalanej ulicy.



Zdjęcie obok: kamienne brzegi Sekwany w Paryżu zupełnie zalane. Woda wysoko podchodzi pod łuki mostów.



Naiwnych nie sieją..

Znany jest autentyczny kawał warszawskiego „knajaka”, który ciemnemu chłopkowi sprzedał... kolumnę Zygmunta w Warszawie. Ten sam kanciarz innemu naiwniakowi ze wsi „odstąpił” po okazjonalnej cenie... tramwaj Nr. 18. Na „carskie brylanty”, sprzedawane chyłkiem w podejrzanych bramach, zawsze znajdują się dostatecznie głupi nabywcy. Czytamy o nich — wzruszamy ramionami, i myślimy: „Żeby też w XX-ym wieku ludzie tak się dawali nabierać”. Potem przychodzi refleksja — że przecież „nabrani” są zawsze ubodzy duchem, prostaczkowie.

Czy tylko? Wcale nie.

Przed paru laty cały Rzym trząsł się ze śmiechu na wieść o spryciarzu, który bogatemu amerykańskiemu sprzedawca — kolumnę Trajana! Naiwność amerykańskiego prymitywa, który zamierzał ową kolumnę przetransportować za ocean i postawić w swoim ogrodzie — wydawała się niepozbywanym humorem włochem czemś piramidalem.

Okazuje się, że rodzina spryciarzy jest na świecie jednak wcale liczna — a legjony naiwnych też jeszcze się nie wyczerpały. Oto w tych dniach w Warszawie pewien lubelski ziemianin kupił na własność... *paryską wieżę Eiffla!* No tak. Paryżowi się już znudziła, więc mają ją rozebrać. Warszawski kanciarz zwiększył interes. Samo żelazo — sprzedać może naiwnemu na rozbiórkę — interes poprostu złoty. I naiwnego znalazł.

Przy zacisznym stoliku w jednej z warszawskich kawiarni „ubito targ”. Całą wieżę ziemianin kupił za 100 tysięcy złotych — wpłacając od razu a conto 5 tysięcy żywą gotówką. Poprostu wygrana na loterii: bo gdyby wieżę kupował partjami — to za „parter”, jako najszybszy, żądano 90 tysięcy, a za pozostałe dwa piętra po 40 tysięcy za każde. Więc „oszczędził” na czysto 70 tysięcy...

Gdy się jednak znalazł w Paryżu, aby zabrać ten swój sprawneczek — spadł z księżycą. Za-



łożylibyśmy się, że już o nim cały Paryż śpiewa odpowiednie piosenki.

Przetrącone skrzydła

Rozpisano w Warszawie konkurs na rozplanowanie wielkiej nowej dzielnicy, związanej z imieniem Marszałka Piłsudskiego. Zadanie urbanistyczne ogromne, zadanie artystyczne niezwykle pociągające — zadanie, które, zdawało się, pozwoli naszym architektom, rzeźbiarzom i urbanistom, nareszcie wypowiedzieć się w całej pełni, w koncepcjach pięknych, szerokich, śmiałych — epokowych.

Gdzietam. Rezultat konkursu — więcej niż średni.

Oto, jak stwierdza architekt Norwerth w swych rozważaniach, zamieszczonych w „Gazecie Polskiej”, nadesłane projekty „nie dają nic, co by mogło choć cokolwiek zapłodnić wyobraźnię przyszłych wykonawców i realizatorów”.

I dalej dodaje słuszną uwagę:

„Gdzieś jednak musi leżeć przyczyna tej osowiałej słabości myśli, nie znajdującej w sobie siły, aby przebić się przez cokolwiek poważniejsze zadanie. Przede wszystkim jest to niemożliwość atmosfery, brak klimatu wielkich rozmiarów. Jak nie można wykonać rekordowego skoku w terenie rozmokłej gliny, „tak samo trudno jest oderwać się od psychozy merkantylizmu i skończyć ponad poziom oszczędnej użyteczności.”

Artystom polskim przez szereg lat nie dano nic do roboty. Nagle zażądano od nich — wzlotów podniebnych. Fiasko. Zupełnie zrozumiałe. Mają z powodu bezczynności odrętwiałe skrzydła. Często nawet poprzetrącane przez ciężkie konieczności życiowe.

Czy tak jest dobrze? Norwerth słusznie woła, że nie.

„Że nie powinniśmy nawet w najbardziej zmordowanym stanie psychicznym przypuszczać, że wszystkie nasze pokolenia, które z takim zapalem mnożymy, zechcą przez wieki pozostawać w stanie „zdziesiątych hołodrańców” i ten swój stan nazerównać uplastyczniać. Musi przecież kiedyś cała ta Polska nanowo zbudzona od takiego stanu ducha się oderwać. Bo chodzi nie o prosperity wcale, tylko o myśl i polot ducha, który wkrótce mogło latać się odczytać.”

Niestety. Jak widzimy, poczęści już się odczytał.

Po czyjej stronie zaszczyt?

Chór Dana przed wyjazdem do Ameryki po nowe laury, śpiewa z niebywałym powodzeniem w Warszawie. To samo powodzenie towarzyszy świetnemu zespołowi wszędzie: wszystkie stolice Europy witały Dana z entuzjazmem, wszystkie żegnały go z żalem. Murowanie pewna, niezawodna propaganda muzyki polskiej — oto co od niechęci, z uśmiechem, niesie zagranicę Dan, twórca i kierownik zespołu.

Dzisiaj wiedzą to już wszyscy — nawet panowie z M. S. Z.

I chór Dana witają na placówkach zagranicznych z dumą i radością, pewni wysokiej jego klasy, pewni powodzenia, wdzięczni za rozślawianie na skrzydłach pieśni imienia Polski i jej znaczenia kulturalnego.

Ale niezawsze tak było...

Mało kto wie, że Dan, syn wielkiego pisarza Gustawa Daniłowskiego, był przed paru laty urzędnikiem M. S. Z. (właśnie w wydziale prasy i propagandy). Kiedy młody muzyk zaczął tworzyć swój zespół — poprosił swoją „władzę” o roczny bezpłatny ur-

lop i otrzymał go. W tym czasie wykształcił swych śpiewaków, stworzył repertuar (sam jest kompozytorem, i to doskonałym) — i Chór Dana zaczął występować w „Qui pro quo”. Młody Daniłowski przyjął pseudonim *Dan*, i dyskrecję swą posunął tak daleko, że wcale nie ukazywał się na estradzie: akompanjował swemu chórowi i kierował nim — z za kulis.

Mimo to zasuszona biurokratyczna mumja, która w tej epoce decydowała o sprawach personalnych w M. S. Z., wezwwała do siebie bezpośredniego zwierzchnika Dana i orzekła: „Daniłowskiego trzeba zwolnić z Ministerstwa, albowiem nie wypada, aby nasz urzędnik występował publicznie i kierował chórem”. Probowano biurokratę przekonać. Napróżno. Dana zwolniono.

Całe jego szczęście!

Dziś Dan ma sławę, ma własną willę, ma samochód, ma wolność, jest znany i oklaskiwany we wszystkich stolicach świata — a biurokratyczna mumja, która wtedy uważała, że to „nie wypada”, bardzoby mu się dziś grzecznie ukloniła, gdyby Dan zechciał łaskawie w salonach Ambasady zaprodukować coś ze swego repertuaru.

Dzisiaj — propaganda polska Dana się nie wstydzi.

Dzisiaj — za zaszczyt dla siebie uważa, że Danem się może pochwalić. *Les jours se suivent, mais ne se ressemblent pas...*

Cośmy otrzymali?

Akcja obniżania cen *oficjalnie została zakończona*. Jakoś w życiu codziennym, w budżecie człowieka pracy — śladu jej nie widać.

Co nam zabrano — wiemy aż nadto dobrze. Jakie nam wzamian dano ulgi — wiemy poniekąd tylko z gazet. Legion inteligencji pracującej, urzędników, wolnych zawodów — ponosi nieskompensowane ofiary. Bo komorne w ich mieszkaniach przeważnie nie zostało obniżone — a była to jedyna realna obniżka, którą szerokie rzesze odrazu namacalnie mogły odczuć.

Lalki z celuloidowymi główkami, gwoździe i naczynia emaljowane znacznie mniej wpływają na budżet codzienny zwyczajnego człowieka...

Ogniotrwała blaga

Jeszcze poprzednie pokolenie wykwintnych pań domu w Warszawie znało zagraniczną porcelanę ogniotrwałą. W rondelkach takich gotowało się w kilku wymagających domach warszawskich. Niema bowiem na świecie naczyń higieniczniejszych, bardziej estetycznych i apetycznych. Była to porcelana droga, sprowadzana z Francji — ale rzeczywiście ogniotrwała.

Obecnie — mamy na ten sam temat... coś krajowego. Prostu polską blagę. Właśnie kupiliśmy w znanym sklepie warszawskim patelnię z „*krajowej porcelany ogniotrwałej*” — która pękła na ogniu w minutę po postawieniu. Reklamujemy. Żądamy zamiany. Uwzględnia się częściowo nasze życzenie, dzieląc straty po połowie. Druga patelka, innej już fabrykacji (też krajowej) — trzasnęła momentalnie po postawieniu na gazie.

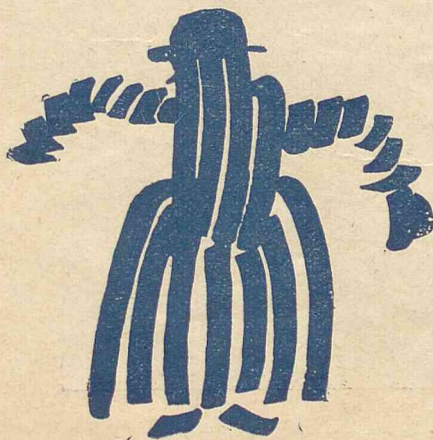
Odbywa się zatem *w sklepie*, w naszych oczach, próba *trzeciej patelki*, gdyż uprzejmy sprzedawca twierdzi, że być może nie umiemy się z tem obchodzić. Trrrrrach... W sekundę trzaska na ogniu patelka numer trzeci.

Sprzedawca wtedy wyjaśnia, zażenowany: „No tak, to wyrób krajowy, wiadomo, że to nie to, co francuskie. Przecież i to reklamowane i bardzo drogie krajowe szkło *ogniotrwałe* także pęka na ogniu...”

Zapytujemy polskie wytwórnie, w jakim celu puszczają na rynek tę... ogniotrwałą blagę?

Bezrobocie czy grymasy?

Słyszysz się ciągle coraz straszliwsze rzeczy o bezrobociu, o nędzy. Spotyka się ludzi dyskretnie



(w śródmieściu) wyciągających rękę po datkę. Czy wszyscy nań zasługują?

Znamy rodziny, które od paru miesięcy *szukają napróżno — służącej do wszystkiego*. Robota lekka, osób mało, mieszkanie niewielkie, dzieci niema. Słowem, zdawałoby się, raj. Żadna „pomocnica domowa” nie chce się zgodzić. Dlaczego?

Bo jedna posada jest w Jabłonie, druga w Grodzisku, trzecia na wsi. Na takie „zesłanie” niema wogóle amatek...

Parę słów o djetach poselskich

W dyskusji budżetowej w Sejmie znalazło się parę kwiatków zaiste... egzotycznych. Jednym z nich było twierdzenie posła Jedy-naka (który już nie *jedynakiem*, ale *benjaminkiem* Sejmu powinien za to zostać) — że djety poselskie w Polsce są *za niskie!* Na dowód mówca przytoczył wysokość djet w... Anglii, Francji i innych państwach *notorycznie bogatych*. Nie przytoczył tylko dla ścisłości małego szczegółu: *kosztów życia w tych krajach i u nas*. Okazałoby się może przy takim porównaniu, że nasi posłowie nie są gorzej płatni od zagranicznych... Ale gdyby nawet się nie okazało, to p. Jedy-nak — zapamiętajmy na wieki to nazwisko, bo warto — poseł Jedy-nak zapomniał o krótkim, ale wymownym przysłowiu polskim: „*Wedle staru grobla*”...

Przy nędzarskim stawie polskim obecna sejmowa grobla jest jeszcze wcale, wcale zasobna. Społeczeństwo oczekiwało raczej, że sami posłowie uznają za tak-towne *zredukowanie swoich poborów* — zważywszy nie tylko biedę kraju, ale i faki nigdzie indziej nie praktykowane: że parlament u nas funkcjonuje *zaledwie czwartą część roku, a pobory otrzymuje przez rok cały!* Czyli nie tysiąc złotych miesięcznie, lecz *cztery tysiące* wypada panom posłom za każdy miesiąc istotnie w Sejmie spędzony.

To na dzisiejsze czasy wcale ładny dochód...

I społeczeństwo naprawdę nie widzi powodu do *podmyżek*, które poseł Jedy-nak wyrażnie sobie zastrzegł „gdy tylko nadejdą trochę lepsze czasy”.

Uparty nurek.

OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

(Korespondencja własna „Świata“)

TROCHĘ O IHANSI, WIĘCEJ O CAWPORE
I DRODZE ŁĄCZACEJ TE DWA GRODY

Senne Ihansi przyjęło nas bardzo niegościnnie. Nie mogliśmy znaleźć sklepu z kompotami. — Zmęczyliśmy się śmiertelnie, zwiedzając wyjątkowo nieciekawą cytadelę. Nie starczyło już sił na dalsze zwiedzanie miasta i świątyń.

W głębi fortu sterczała zczerniała maleńka kapliczka — to wszystko. Tępy młodzieniec, chociaż anglik, wytatuowany, jak dzikus, zaznaczył, że z punktu widzenia strategicznego ten fort nie jest ciekawy. Świątynie osobście go nie interesują. Może ma rację.

Cały kraj zaroił się teraz zamkami na wysokich górach. Jedne w ruinach. Wewnątrz innych późniejsze w stylu pałace. Wioski w murach obronnych. Czasem sterczy tylko zwalona brama. Stare miasteczko murowane. Znikły szalały z sitowia.

To chyba było w Kalpi. Świątynia hinduska, przed nią staw i szerokie, rozłożyste drzewa. W cieniu tych drzew założyli obóz fryzjerzy. Aż trzy zakłady fryzjerskie naraz. Na każdym drzewie

...w kopule wysokiego stropu szczebiocą ptaszki, a pośrodku dziedzińca śpią trzy mogiły — kamienne grobowce.

barwny szyld z odpowiednim napisem w którymś narzeczu Indji. Wszystkie trzy cieszą się olbrzymim powodzeniem. Klientów jest aż za dużo. Tutaj się strzyże, goli, zostawiając hinduski czubek, robi masaż twarzy i głowy wraz z namaszczaniem oliwą. I jak zwykle u fryzjera rozmowy i plotki.



...towarzyszy nam niewidzialny w mrokach nocy Ganges...



Droga łukiem przebiegła miasteczko, by wypaść znów na pola, zakręcić pod ostrym kątem na prawo i przypaść do wrót dworca kolejowego. My też przypadliśmy. Motor grzecznie stanął pod drzewem, wcisnął się między barwne tangi, zmałał i zszarzał.

Mój chłopiec znika w paszczy bufetu w pogoni za wodą z lodem i kompotem. Praży niesamowicie. Wprost powietrze zamarało, stężało w upale. Nagle wiadomo skąd przyszła trąba powietrzna. Zamiotła cały pył z drogi. Zamroczyła słońce czarną chmurą. Rzuciła to wszystko w twarz.

Konie, ludzie, w popłochu kurchą się, zakrywają, kaptur nasunięty na oczy. Nie pomaga. Czuję się zmiętoszona, rzucona w pył, jak suche liście. Jak przyszła, tak z huraganową siłą pognęła dalej.

Gdy mój chłopiec wrócił z puszką kompotu, zdobytą za bajorńską sumę, słońce świeciło bezlitośnie jak przedtem i martwa cisza wisiała w powietrzu.

Było już nieznośnie gorąco. Jechaliśmy odrętwiali ze zmęczenia, gdy na skraju drogi wyrósł potężny maszyn starych ruin. Murem zamknięty przestronny dziedziniec. Prastare rozwiane drzewa. Trawą porosły majdan.

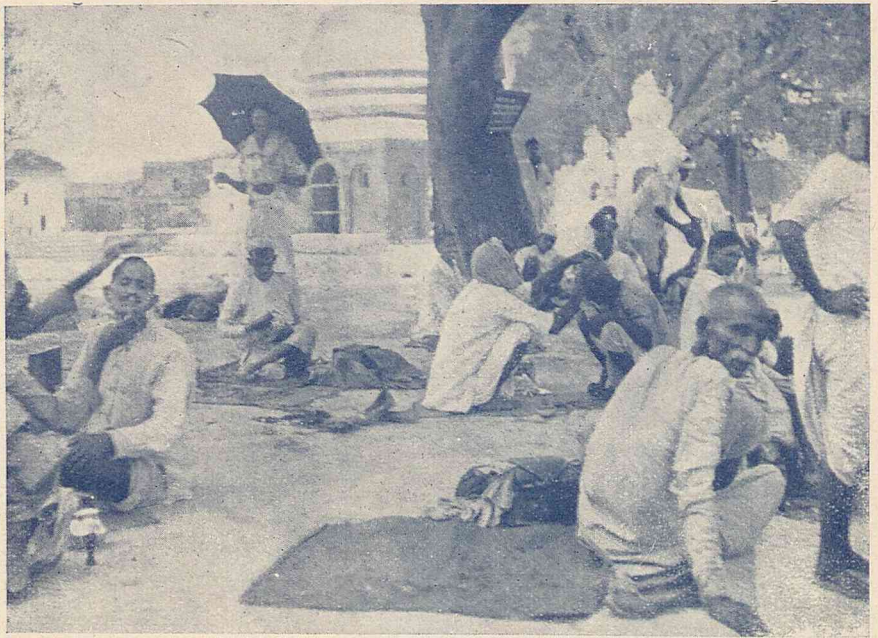
Wchodzę do wnętrza. Zając przebiega przez kamienne flizy posadzki. W kópule wysokiego stropu szebiocą ptaszki, a w środku śpią trzy mogiły — kamienne grobowce...

Była wielka cisza i majestat śmierci i opuszczenia i chłód w tych nierejestrowanych ruinach. Jakże ciężko było znów wyjść w żar słońca. Spędziłabym tam dzień i noc razem z zającem i ptaszkami, śpiąc na grobowcu. Może przyszłyby duchy tych, co śpią snem wiecznym i opowiedziały jakąś dziwną, długą historię.

Nad wieczorem tego dnia sądzono nam było wjechać w ludne, fabryczne Cawpore. W przewodnikach Thomas Cook'a Cawpore zajmuje zaszczytne miejsce. Jest warte zwiedzenia. Słynie z największego, barwnego bazaru w Indjach. Jest bardzo uprzemysłowione i ma tragiczną przeszłość buntu sepoy'ów.

Dziś można oglądać pomnik — białego anioła z dwiema palmami pokoju, jak miecze. Zapomniało dodać najbardziej charakterystyczną cechę tego miasta, że jest najbrudniejszym miastem Indji, a bodajże całego Wschodu.

Długimi, niekończącymi się ulicami wjeżdżamy w pył i dymy kominów fabrycznych. Wciąż przedmieścia, wzdłuż jezdni jeden przy drugim siedzą uliczni sprzedawcy owoców. Kawony ogromne, purpurowe, pocięte na porcje, a na nich roje much. Zresztą wszystkie owoce w całym mieście — ready to eat. Nawet



W cieniu drzew założyli obóz fryzjerzy.

nie w koszu. Wprost na piasku jezdni.

Za sprzedawcami ulicznymi w drugim rzędzie nędzne sklepiki.

Wjechaliśmy w serce bazaru, siłą przepychając motor przez splątany tłum tang i pieszych przechodniów. Ogluszył nas zgiełk, otumaniał bezustanny ruch.

Rzeczywiście cała ulica to jeden kram jarmarczny, podzielony, jak plaster miodu, na komórki i komóreczki.

W tym sezonie królują właściciele budek sodowych. Na przestrzeni pięciu metrów jest ich co najmniej dwie. Spałli właściciele siedzą dostojnie za cebrem, lub skrzynią pełną lodu. Używają

spragnionym zimnego napoju. Wodę sodową, lub lemonjadę nalewa się z zamkniętej butelki, ale lód... Wyjęty z trocin wędruje do kubelka z czarną już od brudu wodą. Potem do szmaty, na wszelki wypadek brązowego koloru od urodzenia. Rozbija się go na zapluty prog. Nie szkodzi. Pragnienie zabija wszelkie mikroby. I lód jest w danej chwili najwspanialszym darem bogów. Nic to, że szmata brudna.

Parę godzin krążyliśmy po tem mieście - bazarze, robiąc po kilka mil w różnych kierunkach, by zdobyć jedzenie, benzynę i naftę. Każda z tych rzeczy musiała się znajdować na innym krańcu miasta.

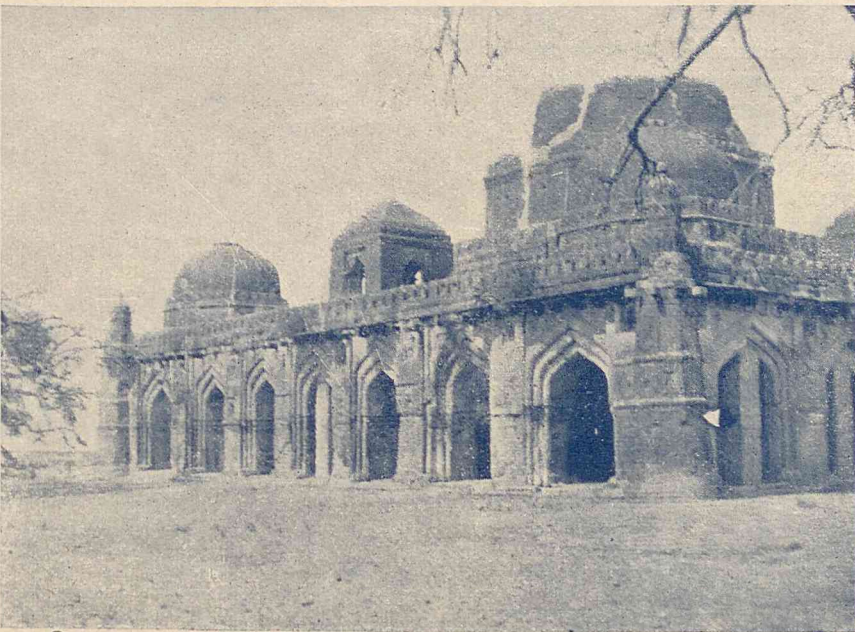
Wreszcie gdy noc już zapadła, półżywi ze zmęczenia, wydarliśmy się na szlak drogi, by gnać całą noc w stronę Allahabadu. Przeskoczyliśmy jeden kanał, drugi — wciąż oglądając się za dobrym noclegiem. A potem kanałów już nie było, lub stały puste. Pola, trochę drzew i gdzieś skryte w mroku czają się wioski.

W nozdrza uderza świeży powiew od wody. Gdzie ta woda może być? Jest z lewej strony drogi — to pewne. Na śmierć zapomnieliśmy, że nieustannie towarzyszy nam niewidzialny w mrokach nocy Ganges.

Ścieżki coraz częściej idą w tę stronę. Aż kusi zboczyć, umyć się w zimnej wodzie i zasnąć. Noc jest taka duszna.

Calcutta.

Zdjęcia St. Bujakowskiego.



...murem zamknięty przestronny dziedziniec...

Z SALONU ZIMOWEGO W INSTYTUCIE PRO- PAGANDY SZTUKI



R. Kramsztyk wystawił w I. P. S. parę portretów. Portret Maurycowej hr. Potockiej (powyżej) oraz „Portret dziewczynki” (obok) cieszą się znacznym powodzeniem.

„TYDZIEŃ ŚWIATA”

Sowiecki „Rewizor” w Paryżu

Prasa paryska interesuje się żywo przyjazdem do Paryża ambasadora Karachana wraz z towarzyszem Kuźmiczem — jednym z „wierzchołków partyjnych” w GPU, przemianowanym już zresztą. Przyjazdowi Karachana chciano początkowo nadać specjalny, zupełnie prywatny charakter. Zbiegł się on mianowicie z występem w paryskiej Operze primabaleriny teatru w Moskwie znanej tancerki sowieckiej, Siemienowej. Karachan jest poprostu mężem tancerki. Złośliwa prasa francuska przyjazd ambasadora na ten występ traktowała, jako objaw „zazdrosnej troskliwości”, inaczej ustosunkowana do Sowietów prasa, bliższa radykałom, nazywała to poprostu troskliwością o personalne i propagandowe występy pani Siemienowej.

Plotki, ploteczki kursowały po szpaltach pism i kawiarniach.

Teraz jednak odsłonięto przyчины przyjazdu, aż dwóch „towarzyszy” komisarzy na występy Siemienowej. Okazuje się, iż zarówno dla Karachana, jak i dla Kuźmicza były one tylko pretekstem. W gruncie rzeczy towarzysz-ambasador i towarzysz-minister mieli poddać rewizji działalność paryskiego ambasadora Sowietów — Potiomkina.

Działalność zaś ta ostatnio nabrała cech tak wybitnego, gwałtownego wtrącania się w wewnętrzne życie Francji, iż wywołała ostrą interwencję prasy, a nawet „przyjazne” objeżdżenie Quai d'Orsay.

W kampanii ostatniej, prowadzonej w celu obalenia premiera Laval'a, ambasador Potiomkin odegrał wcale wybitną rolę. Na

rzędzie ambasadora był poseł komunistyczny Gabriel Péri, który otrzymywał osobiście z rąk ambasadora instrukcje i wskazówki, jak powinien zwalczać Laval'a i jego rząd. Według plotek paryskich, Potiomkin pozwolił sobie podobno wystosować do francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych objeżdżenie, dotyczące rozmów porozumiewawczych pomiędzy kanclerzem Hitlerem, a ambasadorem Francji w Berlinie, Francois Poncet'em.

Gruźlica płuc jest nieubłagana i co-rocennie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „BALSAM TRIKOLAN AGE” (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age”), który, ułatwiając wydzielanie się płw- ciny, usuwa kaszel, wzmacnia orga- nizm i samopoczucie chorego. Sprzedają ap- teki.

Podboje japońskie (x)

Korzystając z zajęcia się Euro-py zatargiem i wojną włosko-abisyńską, Japonja kontynuuje swój tryumfalny pochód wgląd Azji. Po Mandżurji, Jeholu i Tsharze w menu spożywczem coraz większy objawiającej apetyt Japonji znalazła się Mongolja. Gdyby na ten temat miał kto jeszcze jakie wątpliwości, to rozwiewa je zdecydowany i jasny artykuł Yossimury Tsudze, umieszczony w wielkim tygodniku japońskim „Hakan”. W artykule tym idea „Wielkiej Mongolji” została postawiona bez ogródek. W artykule tym znajdujemy: „Powstanie niepodległego Mandżukoo wykazuje nam, jak olbrzymią rolę odgrywa ono w obronie Japonji i Korei przed czerwonym niebezpieczeństwem. Jednak po utworzeniu Mandżukoo przyszedł teraz czas na stworzenie niezależnej Mongolji. Najbliższe działania Japonji winny iść w kierunku Mongolji, Sin-tsiangu, Tybetu i Indyj Brytyjskich”.

Trudno mówić jaśniej.

Ten program wskazuje, że Japonja nie zatrzyma się wcześniej, nim nie dotrze do granic Indyj i Indo-Chin! Wystarcza obserwować prasę japońską, aby widzieć konsekwencję i intensywność cechujące ten program — państwa coraz wyżej wschodzącego słońca. Anglja dziś myśląca tylko o pogrobnieniu Włoch, o zapewnieniu sobie supremacji na wodnym szlaku indyjskim, wyęzająca siły, by panować nad kanałem Sueskim, nad morzem Śródziemnym, może nagle mieć na tej granicy indyjskiej niebezpieczną i przykrą niespodziankę — zdążającą ku tym Indjom od drugiej strony.

„Ludzie są dobrzy”

W artykule „Książki pod choinką”, drukowanym w N-rze 1 omawialiśmy w dłuższej recenzji doskonałą książkę Morcinka p. t. „Ludzie są dobrzy”.

Przez przeoczenie mylnie zamieszczo firmę wydawniczą tej ciekawej książki dla młodzieży. Książka Morcinka ukazała się nakładem księgarni „Biblioteka Polska” i jak wszystkie wydawnictwa tej firmy posiada staranną i efektowną szatę zewnętrzną.

Austrja się asekuruje (b)

Od pewnego czasu, gdy wzrosły międzynarodowe trudności Włoch, Austrja, ta Austrja, która pragnie zachować swą niezależność, zaczęła się oglądać za ewentualnymi sojusznikami, którzyby dawali jej pewną gwarancję na wypadek zewnętrznego lub wewnętrznego puczu hitlerowskiego. Z tych przesłanek wypływają niewątpliwie dyplomatyczne gesty zbliżenia się Austrji z Małą Ententą. Stąd również płynie polityka odprężenia wewnętrznego i pokojowe wyciągnięcie ręki prezydenta Schuschnigga do lewicy austriackiej. Pierwszym takim czynem było ogłoszenie szerokiej amnestji. W odpowiedzi na to szereg byłych działaczy socjalistycznych, organizatorów związków zawodowych, zgodziło się na apolityczną współpracę z rządem, aby dokonać reorganizacji rozwiązyanych związków. Porozumienie na tym terenie już nastąpiło. Przywrócenie na stanowiska wielu z amnestjonowanych, przywrócenie emerytur skazańcom politycznym dokonały umocnienia się współpracy. Prezydent Schuschnigg w swej polityce stosuje mądrą zasadę wzmocnienia odporności, jednolitości i siły wewnętrznej państwa, któremu może grozić niebezpieczeństwo wewnętrzne — a którego główna pomoc zagraniczna — Włochy — może nie być w stanie stawić się z odsieczą.

Paradoksy

Jak to już zaznaczyliśmy nie dawno w korespondencji z Aten, obecnie republikanie greccy są najbardziej zdecydowanymi podperami tronu. Ten stan rzeczy świadczy najkorzystniej o mądrości stanu króla Jerzego II. Po powrocie amnestją objął tych, którzy parę miesięcy temu wywołali rewoltę, aby nie dopuścić do obalenia republiki — a dziś? A dziś republikański, ateński „Acropolis” pisze: „jesteśmy republikanami, a jednocześnie żarliwymi zwolennikami króla. Przyszłość należy do tej Grecji otaczającej króla i zdecydowanej podtrzymywać go w pracy i wysiłkach utrwalania spokojnego, cywilizacyjnego, twórczego życia narodowego”.

Król odzegnał się od zamierzanej być przy tronie kamarylli, król wykazał charakter, król ma naród za sobą. Okazuje się, że wartości moralne cenione są przez ludy.

Stracone notatki Kiplinga

Całe imperjum brytyjskie, nie tylko stara Anglja, uroczyście obchodziło dzień 70 rocznicy urodzin Rudyarda Kiplinga. Kipling urodził się w roku 1865 w Bombay’u. Ojciec jego był kustoszem muzeum w Lahorze. Wujem Kiplinga był sławny malarz Edward Burne Jones. Ci dwaj ludzie mieli wpływ wielki na umysł i wyobraźnię młodego Kiplinga. Obu kochał, obu cenił, obu słuchał, a oni sami... zażarcie zwalczali się, wyznając wręcz odmiennie poglądy estetyczne.

Kipling w opinii angielskiej uważany jest za jednego z najwybitniejszych współtwórców kolonialnej potęgi Anglji, bo on to zaszczerpił w masach uczucie przywiązania i patriotycznej miłości do zdobywanych terenów. W ten sposób podboje mogły przekształcać się w dominja.

W czasach swych studjów Kipling nigdy nie był uczniem czy studentem „celującym”. Specjalnością jednak jego było opowiadanie bajek i niezwykłych historii w sypialni internatu szkolnego. Kiedy pogaszono światła, gdy regulaminowy sen miał panować w wielkiej sali, nad łózkami kolegów rozlegał się głos Kiplinga i płynęły historie niezwykle czasem do rana.

Często w tych czasach odczuwał on braki pieniężne, wówczas wraz z kolegami udawał się do pobliskiego antykwarsza i „zastawiał” swe książki szkolne. Oczywiście te „zastawy” rzadko kiedy były wykupywane.

Podczas 25-cio lecia pisarskiej działalności Kiplinga, wielbiciele jego odszukali antykwarski sklepik w pobliżu kafejki i postanowili przejrzeć te książki w nadziei, że znajdą tam jakieś notatki charakterystyczne, młodocienne wiersze. W małym sklepiku odnaleziono jeszcze starszą damę, chępiącą się, że to ona również brała książki od Kiplinga.

„Jego książki — oświadczyła ależ naturalnie, proszę, proszę, mamy je wszystkie starannie

skatalogowane". Wielbicieli Kiplinga przeszedł dreszcz radości: mieli w swych rękach książki Kiplinga przeszedł dreszcz radości: starannie przerzucać kartkę po kartce. Ale książki były niepokalanie porządne.

— Och, mogą panowie nie sprawdzać — oświadczyła sprędaająca z godnością — nie brakuje ani jednej kartki i to są książki bardzo czyste. Coprawda były zagryzmolone napisami, notatkami, wierszykami na każdej prawie stronie — ale myśmy wytarli to wszystko starannie".

Zdeterminowani wielbicieli Kiplinga odłożyli książki na ladę — a miłująca porządek antykwaryszka nie dowiedziała się nawet, że straciła wcale pokąźny majątek.

Sąd Voltaire'a

Voltaire wydał wielce pochwalną opinię o berneńskim uczonym Hallerze. Haller nie odwdzieczył się pięknym za nadobne. Jeden z przyjaciół Voltaire'a doniósł mu o niepochlebnej krytyce Hallera.

— Ach, tak — zawołał Voltaire — okazuje się więc, żeśmy się obaj tak zasadniczo pomylili!

Coraz szybciej

Aby zwalczyć konkurencję aeroplanów na trasie New-York — San Francisco, koleje amerykańskie uruchomią wkrótce nowe lokomotywy aerodynamiczne. Lokomotywy te będą poruszane motorem o sile 1200 koni! Dzięki tym nowym lokomotywowym na wymienionym dystansie koleje amerykańskie „zarobią” 24 godziny.

Pędzimy. Szybkość wszędzie i w wszystkiego zwiększa się. Ludzkość wytrwale i z uporem coraz mniej czasu ma na treść. Tempo wrażeń rośnie tak szybko, iż wrażenia przestają mieć jakąkolwiek wartość. Dawne twierdzenie o podróżach, które „kształcą”, staje się anachronizmem. Dziś podróż — to przenoszenie się z miejsca na miejsce. Pożeramy kilometry — stuk kół, miganie krajobrazu, zbliżenie momentu powrotu z chwilą wyjazdu, to jakby nasza główna sprawa. Jaknajwięcej zobaczyć — jaknajmniej przeżyć, oto nowa formuła, którą nam narzucił demon szybkości.

Mały poradnik praktyczny

Kąpiele słoneczne, nieumiejętnie stosowane, mogą przynieść znaczną szkodę dla zdrowia. Zwłaszcza w południe, kiedy słońce najsilniej operuje, opalenizna zmienia się zwykle na bolesne oparzenie. Należy przeto wybierać raczej godziny wieczorne lub nocne. O tej porze możemy być pewni, że nic złego nam się nie stanie.

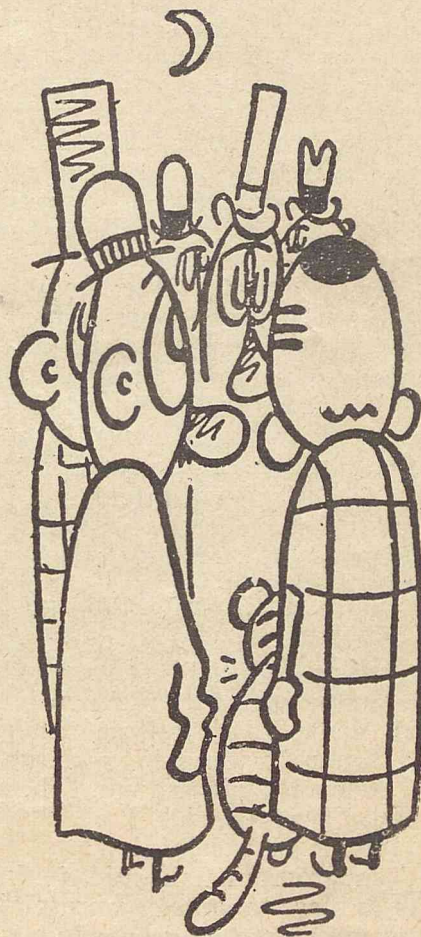
—o—

Piękną, brunatną cerę łatwo uzyskać, smarując się trzy razy dziennie olejną farbą w odcieniu jasnego orzecha. Używanie w tym celu pasty do podłogi nie daje pożądanego rezultatu.

—o—

Nigdy nie należy naczczo pić kwasu siarczanego, czyli t. zw. witryoleju (acidum moriatium) — mczna sobie zupełnie rozstroić żołądek.

ZAPRACOWANI



„Ach cóż to za mordega to biuro!”

— Ma pan tyle roboty?

„Tak, od czasu gdy szef nosi gumowe podeszwy!”

Drobiazgi wytworne

Rozluźnienie obyczajów wśród społeczeństwa amerykańskiego przybiera zastraszające rozmiały. Olbrzymie rzesze ludności prowadzą tryb życia, który dla nas, zdegenerowanych europejczyków, jest prosto do pomysłenia. Np. w samym tylko Nowym Jorku siedem milionów mieszkańców kładzie się spać w porze, kiedy my wstajemy do pracy. O, tempora, o, mores!

—o—

Marzenie kalamburzysty. gdyby królowi abisyńskiemu ofiarowano niewolnika nazwiskiem Kohn, posiadającego złote zęby, a król nie byłby zachwycony tym prezentem: — darowanemu Kohnowi nie zagląda się w zęby.

—o—

— God save the smoking, powiedział pewien anglik, pożyczając przyjacielowi ubranie.



W parę lat później..

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumeratorem „Świata” otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta”, której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Brrr...

Marta wychodzi z łazienki w barwnej pyjamie i czuje się, jak królowa w swoich dwóch pokojach.

Pierwszy z nich ma okno jedno, długie i wąskie pod samym sufitem. Ta górna szyba daje dobre światło do malowania. Ściany tego pierwszego pokoju są jasne, zielone, obrzeżone u góry fryzem, zrobionym ze szkiców dekoracyjnych Marty. Meble są wygodne, dziwaczne, robione według jej rysunków. Biurko z jasnego drzewa zavalone książkami i oświetlone lampą z wielkim abażurem, malowanym w kwiaty. Makaty okrywają wielki tapczan, zwisają ze ścian, służą jako tło dla stalug.

Półkę z książkami podtrzymują trzy normalne nogi i jedna kula krągła i lśniaca.

Wazony z kwiatami stoją na dywanie i na szafie.

Poduszki z aksamitu i futra leżą tu i tam.

Pani Tarasowiczowa wzrusza ramionami, patrząc na ten bezład rozstawionych asymetrycznie mebli, na dwa pudełka niezamkniętych farb i na dziwactwo pomysłów. Podoba się jej jedynie czystość kuchni i czystość łazienki — pozatem nic więcej!

Drugi pokój jest sypialnią Marty. Chwała Bogu ma normalne okno, w którym można zawiesić normalne firanki i przez które można patrzeć na trójkąt wyżywanego placu i na perski dywan kwiatów. W sypialni wiszą dawne obrazki Marty, te które malowała w Kazimierzu nad Wisłą, będąc szesnastoletnią dziewczynką.

Ojciec dziwi się, że Marta chce patrzeć na te niezbyt interesujące w kolorycie i niezbyt jędrne w rysunku pierwociny swego talentu.

Ale Marta właśnie do tych obrazków jest przywiązana. Do drzewek owocowych, kwitnących szeregami, do białego obłoku, odbitego w strudze wody i do cienia, kładącego się na złotym piasku radosnej, ogrodowej ścieżki!

Stryjenka Tuta była też raz u Marty. Wjechała do niej, na to trzecie ujęcie windy i przyjrzała się wszystkiemu przez face à main. — Owszem, całość miała specjalne cachet, które można było nawet pochwalić. Natomiast zachwycać się tem „mieszkankiem” stryjenka Tuta nie miała zamiaru, porównując je z możliwością posiadania przez Martę apartamentów we własnym domu (Szenkerowie mieli pałacyk w Alei Szucha!).

Lu zato wpadła w zachwyt nad niezależnością mieszkania z tak zwanym „niekrepującem wejściem”. Podobał się jej nastrój, wywołany przyćmieniem światłem abażurów, oświetlających wielką taczkę pełną poduszek!

Lu miałaby ochotę od Marty odnając to mieszkanie na garsonjerę, ale nie wie, czy nie spotka się z oburzeniem. Więć milczy.

Zato dyrektor Tarasowicz głośno wyraża swój zachwyt nad tem nowoczesnem wnętrzem, które mówi o zamiłowaniach i pracy ich właścicielki.

Jest racjonalnie obmyślane, estetycznie wygodne i czyste. Czegóż więcej od niego żądać? Że komorne drogo kosztuje? To detal — tym razem dyrektor Tarasowicz swej bratowej nie przyznaje racji. On płaciłby dwa razy tyle za mieszkanie Lu, gdyby wiedział, że w niem będzie mieszkała córka podobna do... Marty. Tymczasem, wydaje tysiące miesięcznie na głupie zachcianki, na rozwód z człowiekiem, który zasługuje na szacunek i który ckaże się ma w rękę niezbitę dowody winy Lu. — To jest okropne dla dyrektora! Dla jego uczciwości, dla jego poczucia honoru. Zaciąga długi, wpada w sytuację bez wyjścia, nie mogąc wyperswadować żonie i córce, aby ograniczyły wydatki, odnajęły część willi i sprzedały część biżuterji!

Stryj w ciszy tego nowego mieszkania Marty zwierza się szczerze bratowej i siostrzenicy z przygnębienia, które oddawna maluje się w jego oczach i srebrzy na jego skroniach.

Bratowa radzi postawić sprawę na ostrzu noża.

Marta natomiast obiecuje porozmawiać na ten temat ze stryjenką i z Lu. Nie można przecież opuszczać rąk i poddawać się. Od czegoż siła charakteru?

Stryj słucha tej młodej dziewczyny i ufa... jej doświadczeniu życiowemu! To brzmi poprostu paradoksalnie! A w kilka minut potem, zjeżdżając windą w dół, dochodzi do wniosku, że młode pokolenie nie ma w sobie nic z mazgajstwa.

Czerwone światło lampki odbija się w mahoniach i lustrach ścian windy. Dyrektor Tarasowicz myśli właśnie o tem, że gdyby nie równowaga duchowa jego siostrzenicy (równowaga oparta na zdrowym rozsądku) może nie zjeżdżałby tak spokojnie tą windą, a desperacko otworzyłby drzwi do przepastnego ciemnego otworu i rzucił się z zamkniętymi oczami! Aby tylko przestać nareszcie o wszystkim myśleć! Aby tylko nareszcie odpocząć!

Marta jest oszczędna, a nawet skąpa. Ale nie w tem co matka znaczeniu. Marta nie odkłada pieniędzy na konto w P. K. O., ani nie zbiera ich do skarbonki — ona skąpi na czasie i oszczędza na sercu i mózgu. Pomimo to Marta ostatnio z całą



rozrzutnością szafuje czasem dla nieulubianej dawniej stryjenki Tuty i nie zamyka przed nią swego serca. Jak to szczęśliwie, że Marta mieszka sama! Można się u niej teraz swobodnie wypłakać i wyhisteryzować bez świadków!

Po odnagęciu pierwszego piętra w swojej willi, po sprzedaniu samochodu, po całkowitem wyprzedaniu biżuterji i futer i po oddaleniu służby jest nad czem rozpaczać!

Marta stryjenkę Tutę pociesza, daje jej krople walerjanowe i wmawia w nią, że „ciocia jest bohaterką“! Bohaterką, która ocalała stanowisko męża (zachwiane wskutek długów), a może i życie tego zacnego, dzielnego człowieka!

Stryjenka, tak chwalona przez siostrzenicę, wychodzi nieraz z jej mieszkanka zdrowsza nerwowo i silniejsza. Oh, siostrzenica umie z nią postępować. Oczywiście, stryjenka musi to zrozumieć, że jej mąż ma uczeiwość we krwi i nigdyby przed kratkami sądowymi nie stanął! Ale mógłby palnąć sobie w łeb!

Ah, Boże!

Kiedy pomyśli o tej możliwości, dostaje spazmów, dziwnych wstrząsów i duszności, aby potem, zjeżdżając windą w dół, czuć się prawie szczęśliwą wobec grozy tego, co ją... ominęło!

Od dwóch miesięcy jest wdzięczną swojej siostrzenicy i jest do niej przywiązana. Już jej nie nie zarzuca i nie pisuje więcej do niej listów. Tylko wpada „na chwilę“ do Marty, zapytując głosem roztargnionym, pro forma, „czy nie przeszkadza?“

Ale musi się przecież wygadać, wypłakać z całą egzaltacją, właściwą jej naturze. (Pani prezesowa X. dziwi się ich oszczędnościom! Państwo Y. nie przyszli na jej five! Wszyscy o nich mówią! Oh! Boże!).

Ciotka bardzo Marcie przeszkadza. Bo minął już okres leniwej prostracji i Marta wpada w rwący prąd intensywniej pracy. Dlaczego? Trochę dlatego, aby zdusić w sobie nastroje wiosenne, a trochę z innych powodów.

TE INNE POWODY

„Folie de Varsovie“ trafiło na żyłę złota i wali od trzech miesięcy ten sam program bez zmian. Marta ma więc dosyć czasu na projektowanie dwóch wystaw sklepowych.

Krytyk Laszkiewicz pisze teraz o Marcie w jednym z najpoczytniejszych pism stołecznych:

— „Warszawa zawdzięcza Marcie Tarasowiczównie ładną i wytworną cukiernię na placu X. o bardzo harmonijnym i utrzymanem w ciepłych tonach umeblowaniu i udekorowaniu...“

Jest to skromna wzmianka, ale właściwie pierwsza wzięta na swój własny rachunek bez współudziału Emila Kossackiego.

Zaś krytyk Henkler w organie „malarji“ warszawskiej robi pochlebną wzmiankę, że „Ville Lumière“ nie wywarło na indywidualności Tarasowiczówny szkodliwego wpływu... Niewiele, ale zawsze coś, co cieszy! Coś, co się wycina z gazety nożyczkami i chowa do pudełka po czekoladkach. Lat temu pięćdziesiąt chowano w ten sposób związane różową wstążką listy, fotografie i zasuszone kwiatki...

O nowo wystawionych gwaszach Marty Chłopski podobno wyraża się, że „ujawniają smak i kolor“.

Marta podsłuchuje, co mówią o niej, stojąc poza plecami malarji na vernissage'u. Profesor Hańcza mruczy, że „Tarasowiczówna ma stanowczo coś do powiedzenia! Ma wyraz i ekspresję, a co najważniejsze, umie się indywidualnie wypowiedzieć...“

Niema w tych powiedzeniach hymnów pochwalnych, ale niema też ironji i szyderstwa, z jakim spotykają się często nowe kobiece palety.

A co mówią o Marcie koleżanki?

Fiszbandowa w kobiecym tygodniku społecznym - literackim zaznacza, że „Tarasowiczówna ma sporo niewymuszonego wdzięku...“ (jak na tę złośliwą jędzę, to i tak dobrze!).

A znowu Prawdzic - Biernacka, siedząc w cukierni artystycznej nad pół - czarnej, woła, że:

„Tarasowiczówna ma zdecydowane uderzenie pendzla i doskonałą organizację powierzchni płótna!“

Przy tym samym stoliku siedzi dziekan architektury, sławny „Trusz“ i Chłopski. Słuchają Prawdzic - Biernackiej z pobłażliwym uśmiechem. Nie cierpią tej baby, noszącej męski kapelusz, kołnierzyk i krawat. Ale uznają jej inteligencję.

Co tu mówić! Brzydactwo z niej takie, że tylko oczy zamknąć i nie patrzeć. Ale jej posłuchać można, z jej zdaniem trzeba się liczyć.

Zatem o Marcie zaczyna się mówić; niewiele, nie tak ostentacyjnie, efektownie i głośno, jak o Kossackim, ale zaczyna się o niej mówić! Oczywiście, sprawia jej to radość, zachęca do pracy, odrywa od osobistych spraw, które ostatnimi czasami zanadto ją absorbowały.

W każdy wtorek Marta siada w swoim monachijskim kółku, w cukierni, mającej pretensję do robienia francuskiej „Rotondey“.

W cukierni artystycznej Warszawy niema zacisznych kąciaków, ani tradycji tak jak w krakowskiej „Jamie Michalikowej“. Zato jest dużo młodego rozmachu. Na zielonkawem tle ścian rozwieszono konkursowe reklamy sklepu z konfekcją damską (stolik Marty właśnie umieszczony jest pod pierwszą nagrodą).

Na poczesnem miejscu, pod ścianą, na której skarykaturowano całą znaną Warszawę, zaczawszy od Sztabu Głównego, zahaczywszy o kler i rząd, a skończywszy na literaturze i teatrze, siedzą „sławy“ malarskie. Fajki w zębach, szklanki niedopitej herbaty z cytryną na obszytych frendzelką obrusach. Ktoś rysuje oparłszy notes o kant stołu, ktoś pisze, odginając róg obrusa. Ten od ceramiki i ten od akwafort grają w szachy. Brodaty mecenas sztuki z goździkiem różowym w butonierce rozmawia w kącie ze sławnym aktorem, a Chłopski siedzi nad płachtą literackiego pisma.



TAJEMNICA PIĘKNYCH RAK
polega na starannem ich utrzymaniu. Przed wyjściem na powieirze i na noc należy natrzeć ręce udelikatniającym i wybielającym Kremem Prazatów, przenikającym w tkanki skóry.

KREM PRAZATÓW
„PERFECTION“

Marta tym wszystkim sławom przygląda się z zaciekawieniem, z podziwem i zachwytem! Oto są ludzie ciekawi i utalentowani! Oto są „twórcy!”

Jakże zwyczajnie wyglądają! Nie noszą ani zawadjackich kapeluszy, ani aksamitnych kurtek, ani malarskich krawatów. Mają spodnie tak dobrze zaprasowane, jak dyrektor Tarasowicz i krawaty, jak Emil. Jeden tylko Chłopski ostentacyjnie chodzi bez kołnierzyka i świeci złotem spinki pod brodą. Ano stać go na to! Sam o sobie mówi:

— „Artysta jeźdem“ i tem zamyka ludziom usta.

Marta przygląda mu się ze skupieniem. Szuka pod sklepioną czaszką tych „konceptyj“, które ją tak zachwycają.

Patrzy w oczy, które tak umieją widzieć! Przygląda się rękom, które stwarzają takie arcydzieła!

Dziwi się Marta, że tak zwykłymi ludźmi są artyści poza swoją wielką twórczością. A niech będą, jakimi chcą, byle umieli tyle dawać ze siebie. Niech chodzą w rozchełstanych koszulach, byle tylko nie byli jak Emil „wyrobnikami“ sztuki.

A Emil wieje od stolika monachijskiego i przysiadła się do „tuzów“. Wita się, kłania i reklamuje. I tam u nich pozostaje aż do końca.

Kapiści siedzą w ogródku cukierni pod wiel-

kim pasiastym parasolem i dosyć głośno chwala cykl gwaszów tej Tarasowiczówny. Marta cieszy się, przechodząc obok nich po skrzypiącym żwirze ogródka.

Boże drogi! Serce bije mocno, mocno! Więc są coś warte? Są „ekspresyjno-dekoracyjne“, chociaż może trochę przerysowane?”

Jak to dobrze!

Chwala ją, nie znając, nie wiedząc, że ona obok nich przechodzi i słucha. Nie chwala jej dlatego, żeby jej zrobić przyjemność, ani dlatego, że ma ładne oczy, „o których zapomnieć nie można“, ani dlatego, że poprostu kobiecie wypada coś miłego powiedzieć!

Wychodząc z cukierni, Marta spotyka Chłopskiego. Emil przedstawia Martę, bo Chłopski panny Tarasowiczówny nie poznaje (tyle miesięcy, inny kapelusz, inna kiecka).

Okazuje się, że mistrz jest coraz więcej zainteresowany pracą tej panny.

Czy panna Tarasowiczówna pojedzie ze szkołą malarską na plenair do Kazimierza nad Wisłą? Razem z nim, razem z Chłopskim? Czy dobrze?

Naturalnie, że pojedzie! Oczywiście, że pojedzie! Jakżeby mogła nie pojechać? I bardzo dziękuje za propozycję!

(c. d.n.)

KAWIARNIANI POLITYCY



— Niechże pan uważa! Tem swoim cygarem już pan dwa razy o mało nie podpalił całej Europy!

(Le Rire)

ŚWIAT SIE ŚMIEJE!

INFLACJA CZY DEFLACJA?



- Hm...
- No tak...
- Właśnie...
- Masz rację. Ja też tak myślę.

(Gringoire)

SAMOTNY SYLWESTER



- Chwała Bogu, że mam to potrójne lustro — przynajmniej nie czuję się taki samotny...

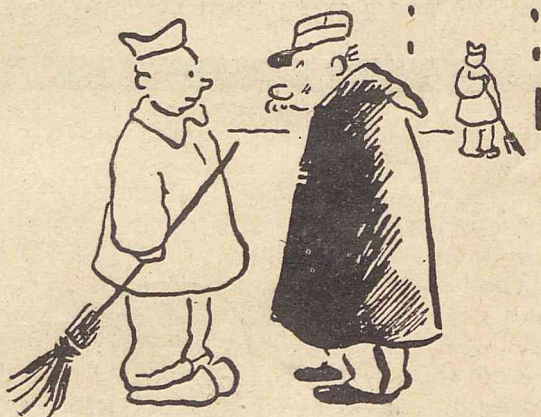
(Humoristicke listy. Praha)



- Ten pan, to Ludwik czternasty.
- Co ty pleciesz?
- No tak: bo na imię mu Lndwik, a bywa zapraszany na obiad tylko wtedy, kiedy jest trzynaście osób do stołu.

(Sondagsmisse Stricks, Stokholm)

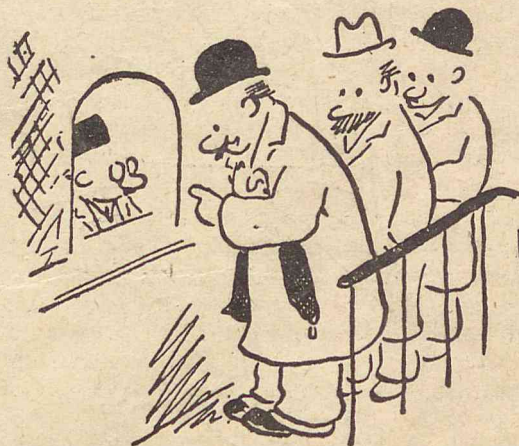
W KOSZARACH



- Wachmistrz do rekruta: — Czem byłeś w cywilu?
- Szybkobiegaczką i rekordzistką światową, melduję posłusznie!

(Gringoire)

UPRZEJMY PŁATNIK



- Pan dzisiaj płaci cały zaległy podatek?
- Nie, panie naczelniku, ja tylko przyszedłem złożyć panu najserdeczniejsze życzenia noworoczne...

(Gringoire)

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumeratorem „Świata” otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach”, której druk rozpoczęliśmy w październiku.

Nie też dziwnego, że w tym wielotysięcznym tłumie oglądać było można kulawych, garbatych i ślepych, a podwody gminne zwały przed koszary chorych, którzy nie mogli o własnych siłach dotrzeć do komendy.

Niektóre gorliwsze wsie nie darowały nawet i starcom, którzy dawno przekroczyli wiek wojсковy, gdyż lat im nikt nie liczył, i niewiedomo czy nie udają zgrzybiałości.

Darmo siliły się władze, aby opanować mrowie ludzkie.

Oczekiwano szczegółowych rozkazów mobilizacyjnych z Wiednia, które miały rozproszyć te tłumy po różnych oddziałach.

Choć nie nastąpiło jeszcze formalne wypowiedzenie wojny, wprowadzono rządy wojskowe.

Po zachodzie słońca nie było wolno pokazywać się na ulicach miasta, a gęsto krążące patrole poszukiwały szpiegów, którzy wedle ogólnej krążącej wersji śledzili każde zarządzenie wojskowe, przysyłając zdobyte wiadomości tajemniczą linią telegraficzną do Białogrodu, Moskwy, Paryża i Londynu.

Niebezpiecznie było przyznawać się do znajomości języka nieprzyjaciół monarchji, gdyż umiejętność taka wzbudzała podejrzenie.

Szczególną gorliwość w tropieniu szpiegów wykazywali najmłodsi oficerowie, przysłani wprost ze szkół kadetkich do pułku.

Rwali się do tej roboty, a jeśli wypadła na którego z nich służba inspekcyjna, zapelniała się areszty podejrzanymi o zdradę stanu.

Wyłapywano na ulicach lekarzy spieszących do chorych, robotników, gdy wracali po pracy do domu, nie przebaczano urzędnikom, a każda młodsza kobieta schwyta na zachodzie słońca na ulicy, poddawana była osobistej rewizji, której dokonywał sam pan kadet lub podporucznik.

Szukano szyfrów, planów i tajemnych instrukcji z Petersburga i Paryża.

Porucznik Piperitz, dowódca pierwszej zapasowej kompanji, podejrzewał, iż nawet w jego oddziale znajdują się niebezpieczni szpiegowie, wymyślił więc na nich chytrą pułapkę.

Wydał rozkaz, aby zgłosili się do niego żołnierze, znający języki nieprzyjaciół.

Obiecował wysłać ich do dowództwa pułku, jako tłumaczy.

Pewien młody parobczak, który przez dwa lata furmanił u popa na Bukowinie i nauczył się na służbie kilkadziesiąt słów rosyjskich, posłuchał wezwania.

Porucznik Piperitz wziął nieszczęśnika na spytki i przeprowadził takie wnikliwe badanie, iż przerażony rekrut powiesił się w nocy na framudzie okna.

Skoro zaś spłonęły wojskowe magazyny z owsem i skórą, jasne już było, że podłożyli pod nie ogień nasłani z Petersburga szpiegowie i ca-



ła Galicja roi się od agentów nieprzyjacielskich mocarstw.

W kilka godzin po pożarze, który wybuchł z taką żywiołową mocą, że zanim pospieszono na ratunek, nie było już ani jednego buta i ani worka owsa, nastąpiło urzędowe wypowiedzenie wojny.

Takie zdarzenie nie mogło przejść na sucho.

Kapitan Kocurek, gospodarz kuchni oficerskiej, strasznie się rozżalił, iż świetnie zaopatrzona piwnica kasyna zmarnieć może nikczemnie, więc zapowiedział ogólne pijaństwo przed wyruszeniem na front.

Dwukrotnie już bowiem zmarnowały się wino pułkowe, raz, podczas wojny trzydziestoletniej, drugi raz w czasie wypraw napoleońskich.

Wspominały o tem bardzo żałośnie amnaly.

W dodatku nadszedł z Pilzna cały wagon wyborowego piwa i aż strach pomyśleć, iż mógłby tak cenny napój skwaśnieć w nienapoczętych beczkach.

— Zresztą, kto wie, ilu nas powróci z wojny, — mówił kapitan Kocurek, — więc pożegnanie ze światem, przyjaciółmi i garnizonem winno być serdeczne i uroczyste.

Tegoż jeszcze południa trysnęły czarodziejskie zdroje i nim nastał wieczór, jeden tylko dyżurny oficer mógł przejść prosto po desce, lecz z ukazaniem się pierwszej gwiazdy i on doznał poważnego zamroczenia.

Towarzystwo podzieliło się na dwie grupy.

Kapitan Kocurek prezydował piwoszom, a major Pallavicini, ze względu na swe południowe pochodzenie, objął dowództwo nad winoszami.

Entuzjazm był wielki.

Co chwila wybuchały okrzyki na cześć zwycięskiej armji, grożono carowi, iż osadzą go w pułkowym areszcie, a Serbję przemienią w jedno wielkie pastwisko świń, odśpiewano cały repertuar pieśni patriotycznych, a gdy zapadł mrok, okrutna rzewność owładnęła duszami.

Kapitan Kocurek uznał, iż wojna jest wogóle niepotrzebna i chętnieby oddał całą Galicję Moskalom, a gdyby im mało było, dołożyłby Czechy z Morawą, tylko bez Pardubic, stanowczo bez Pardubic, albowiem nie chciałby jeździć do swego rodzinnego miasta za paszportem.

Zresztą mogą Serbowie zabrać Bośnię i Hercegowinę, Dalmację i wszystkie porty adriatyckie, byleby zapanaowała na świecie sprawiedliwość i wieczny pokój.

Wywcdom Kocurka potakiwało ze trzydzieści głów, a leutnant Mudroch oświadczył kategorycznie, iż bić się nie będzie z narodami słowiańskimi, przeto w pierwszej zaraz potyczce złoży broń!

I stała się rzecz, napewno nie zapisana w rocznikach sławnego pułku, który od pięciuset lat wier nie służył najjaśniejszym Habsburgom.

Leutnant Mudroch podniósł kufel i zanucił zdradziecką pieśń:

„Hej Slovane!”

Odpowiedziało mu kilkadziesiąt głosów przy stole piwnym i winnym, śpiewali sztabowcy i najmłodsi chorążowie, a major Pallavicini wymachiwał takt, wyraźnie manifestując sympatje do Francji, ponieważ był pechodzenia włoskiego i urodził się w południowym Tyrolu.

Niemcy byli już tak pijani, że drzemali po kątach, ścięci z nóg i jeden tylko kapitan Erweling mruczał przez nos jakieś nieartykułowane bełkoty, z pośród których wyrwały się od czasu do czasu zrozumialsze dźwięki:

— Psy, łotry, na szubienicę!

Parna noc lipcowa rozłożyła się po ziemi i niebiosach, lejąc w żyły cspalność i znużenie, gdy wszedł do kasyna telefonista, niosąc depeszę z dowództwa dywizji.

Obchodził stół dookoła, napróżno szukając trzeźwej twarzy.

Jeden Władek robił wrażenie półprzytomnego, więc kaprał wyprostował się przed nim na baczność, dodając służbowo:

— Panie fähnrich, melduję posłusznie, pilne rozkazy...

Władek rzucił okiem na papier, a ponieważ wkoło leżały trupy, więc ściśle według regulaminu poczuł się dowódcą pułku i zarządził:

— Druga kompanja zapasowa wystawi pełny bataljon bojowy. Sierżant Kapuściarz wyznacz podoficerów i szeregowców. Za godzinę odmarsz na dworzec!

Wyadwszy ten rozkaz, chwycił syfon wody sodowej i pobiegł trzeźwić pułkownika, który wcisnięty w róg kanapy, leżał jak kłoda na piersiach adjutanta.

Wszystkie jednak zabiegi były daremne.

Pan oberst nie reagował ani na wstrząśnienia, ani na wodę, podobnie zachowywał się adjutant, a majorowie spali tak twardo, iż nie zbudziłaby ich huraganowa palba mężdzierzy.

Tymczasem za oknami rozległy się miarowe kroki żołnierskie, to bataljon pod wodzą sierżanta Kapuściarza maszerował na dworzec. Przed świtem miał obsadzić mosty na Dniestrze, a przygotowany do odjazdu pociąg sygnalizowano już dwukrotnie ze stacji kolejowej.

Władek wykreślił plan strategiczny obsadzenia mostów i brodów na rzece, wsunął rozkazy w kie-

szce kapitana Führicha i polecił cztery wozy pułkowe dostawić przed kasyno.

W sali zjawiło się kilkunastu ordynansów, a Władek wyznaczał oficerską obsadę bataljonu, wybierając takich, którzy dawali słabą nadzieję, iż wytrzeźwieją do rana. Z wielką uwagą i przezornością załadowano ich do wozów.

W tym jednakże pośpiechu zapomniano o strzeliwi i bataljon odjechał na wojnę bez amunicji.

Zabrano natomiast baterję flaszek z winem i nierozpoczęte jeszcze antałki piwa, obok których chrapała służba kasynowa.

Dopiero po południu obudził się książę Erich, Janusz, Wodislav von und zu Lichtenfeld Satorhaza Dubrovsky, dowódca słynnego w dziejach pułku, który to pułk jeszcze pod rozkazami Alby odnosił zwycięstwa w Nederlandach, był oczkiem w głowie Wallensteina, a pod Austerlitz wytrzymał dziewiętnaście ataków na bagnety, przy dwudziestym jednak rozleciał się w puch, unosząc sztandar wprost z pola bitwy aż do Ryja.

Książę był bardzo zmęczony i nie okazywał ochoty do spraw urzędowych, zwłaszcza, że księżna wyjawiała wybitne niezadowolenie z wczorajszej pijatyki i wczesnym rankiem odjechała do szpitala, przebrana w czepek i płaszcz siostry miłosierdzia, aby skontrolować przygotowania na przyjęcie zranionych bohaterów.

Miał jej towarzyszyć w tych oględzinach oberleutenant Ritter von Powała Strzelbicky, lecz nie stawiał się w oznaczonej godzinie, albowiem spał kamiennym snem w kasynie.

Takie lekceważenie dotknęło ją dopiero w Ryju, dokąd przeniesiono książęcą parę z Wiednia, aby przywiązać Galicjan do tronu i dynastji, obdarzając mieszkańców łaską obcowania z najwyższymi rodami w monarchji.

Jego Książęca Wysokość nigdy nie byłby się dowiedział, kto uratował od zagłady mosty na Dniestrze, a honor pułku od poniewierki, gdyż adjutant przypisałby samemu sobie zesługę. Osobę książęcą obsługiwał jednak kamerdyner, który co rana, na dzieńdobry, donosił o wszystkich nowinach z pułku, miasta i z okolicy.

Więc, gdy adjutant zjawił się po rozkazy, przyjął go pan oberst bardzo oschle, nawet ozięble, podkreślając z wyrzutem, że niema z swych oficerów żadnej wyręki i gdyby nie rezerwowi fähnrich, stałby się niebywały skandal.

— Takiego człowieka wynagrodzić należy i wyróżnić, przeto będzie podany do złotego medalu.

W pułku gotowano się do wymarszu i wypróżniano piwnicę, aby nie powtórzyła się historia z wojny trzydziestoletniej i wypraw napoleońskich.

Starsi oficerowie rzadko zaglądali do oddziałów, a jeśli się zjawiali, to tylko w tym celu, aby zwymyślać młodszych za ospałe ćwiczenie, młodsi zaś oficerowie wylewali złość na podoficerach lub obojętnie ćmili papierosy, przechadzając się po ćwiczebnem błoni.

Pierwsza kompanja zapasowa, której objąłem dowództwo, liczyła około sześciu tysięcy ludzi, zgromadzonych z wsi i miasteczek podkarpackich.

(d. c. n.).

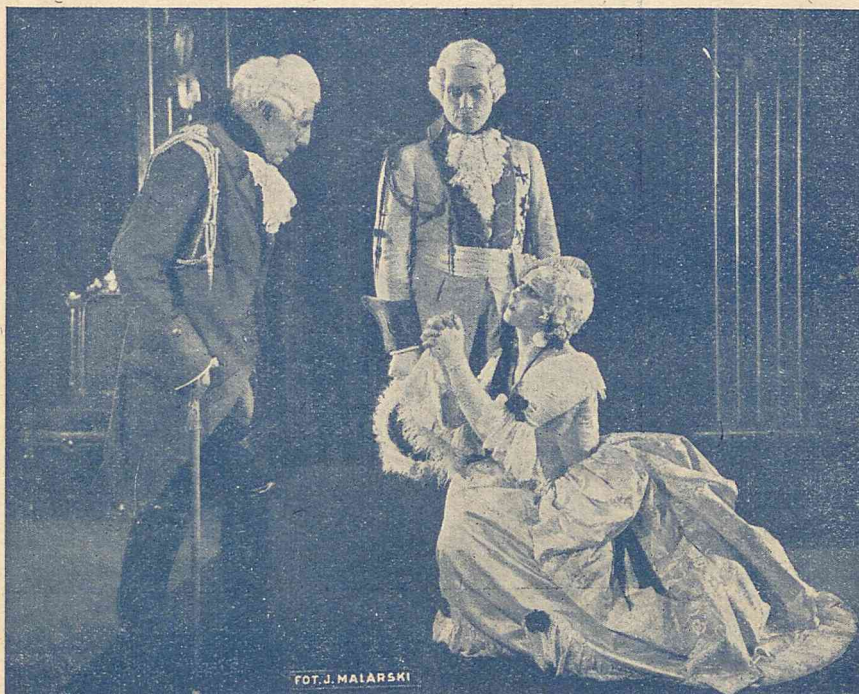
ŚWIAT TEATRU

Teatr Narodowy: „Fryderyk Wielki” Adolfa Nowaczyńskiego. Inscenizacja i reżyserja Ludwika Solskiego

„Fryderyk Wielki” Adolfa Nowaczyńskiego, napisany zgorą 20 lat temu, został wznowiony w Teatrze Narodowym, stając do walki oko w oko z najgroźniejszym dla autorów dramatycznych sędzią — czasem.

śluszne i piękne. Wiele marzeń stało się rzeczywistością.

Nie mogą ich doceniać ci, którzy dziś żyją tą rzeczywistością, która dla dzisiejszych czterdziestoletnich starców była hasłem, programem, pragnie-



Dramatyczna scena błagania „Fryderyka” o pozwolenie na małżeństwo. Stoją od lewej: L. Solski, Różycki, kłęczy Żeliska.

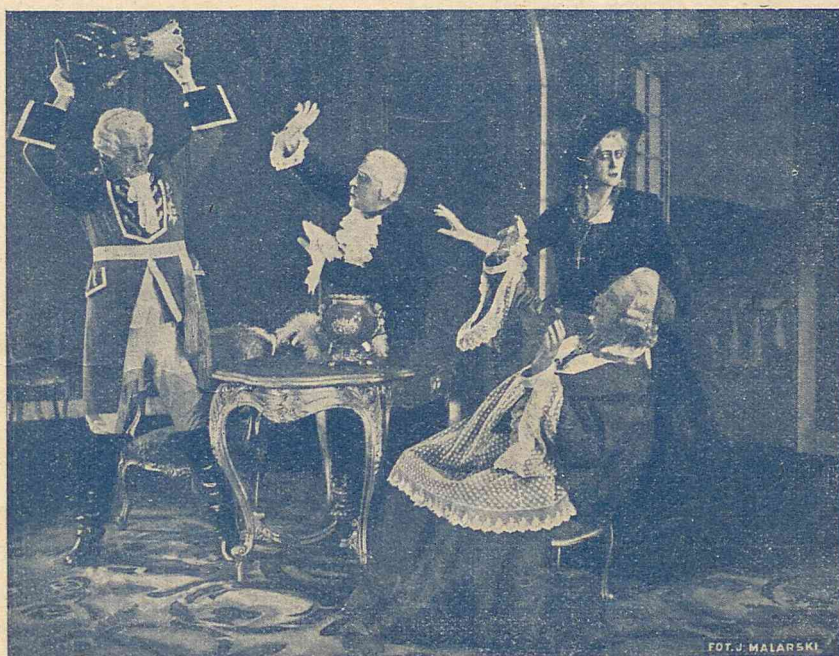
O zaletach literackich Nowaczyńskiego rozpisywać się nie będziemy. Znane są. Tezy, punkty wyjścia, opinie, Nowaczyńskiego można zwalczać lub wyznawać, zawsze należy je badać, gdy się nad nimi zastanawia, gdyż są zmienne. Zmienne, jak wrażliwość każdego artysty. Dzisiejszy a nawet wczorajszy Nowaczyński daleki jest od... sowizdrzała ze Skotopasek. Co jednak jest niezmiennie w twórczości Nowaczyńskiego, to rozmach, temperament, plastyka słowa i plastyka rysunku osób scenicznych. Te wszystkie walory przetrwały, zwyciężyły czas! To, co dziś słyszymy o Gdańsku w perorze von Bischofwerdera, to nas już nie przejmuję, nie wzrusza, jak dwadzieścia lat temu, to nam tylko pozwala sprawdzić dziś, że nasze ówczesne wzruszenie było



Ludwik Solski w świetnej kreacji „Fryderyka Wielkiego”.

niem. Wielkość i wartość rzeczywistości zdegradowała marzenia dawne, ale nie przekreśliła ich tak niedawnej aureoli utopijnej wiary.

To, co w „Fryderyku” było aktualnością pisarza, ujęciem publicysty — to w przedstawieniu ostatniem staje się zaledwie tłem, to schodzi na dalsze plany i nie porusza nas artystycznie. Ale to wszystko, co powstało z ducha dramaturga - poety, ten gorączkowy szkicownik charakterów, w którym w pośpiechu, namiętnie, impetycznie Nowaczyński skalpował jednych, za-



Jerzy Leszczyński ku przerażeniu obecnych (Hajduga, Rotteroma i Stanisławski) chce potłuc wątpliwą wartość artystyczną wazonu rozbitego za aprobatą gustu królewskiego.

pudrowywał charaktery innym — zachował swą plastykę, barwę, żywość. Dowcip, złośliwość, przygryzki — pozostały nie-
tknięte przez czas. Talent autora, więcej, świadomość tego, co się chciało powiedzieć, świadomość, że się miało coś do powiedzenia, zdecydowały — że te stare maski, kostjumy, peruki, to nie wydobyte rekwizyty ale twarze, słowa, namiętności ludzi żywych.

Tem większy był sukces autora, iż stanął przy nim artysta, o którym śmiało można powiedzieć, iż był i jest współtwórcą „Fryderyka”. Solski w tej olbrzymiej, męczącej roli jest tym Solskim z wyżyn. Solskim — królem mimiki, gestu, charakterystyki, dykcji i wnikliwości w charakter odtwarzanej przez siebie postaci. Patrząc nań, zapominało się o wieku znakomitego artysty, myśląc: „ach, jak on świetnie udaje starca”. I niktby się nie zdziwił, gdyby wywołany artysta zerwał przed kurtyną maskę, ukazując się publiczności jako 18-letni młodzieniaszek. Zarówno jako aktor, jak i reżyser świecił Solski we Fryderyku jeszcze jeden tryumf. Poprowadzony przezeń zastęp artystów przejął się w szlachetnej rywalizacji zapalem mistrza. Panie Rotterowa, Świerczewska, Żeliska dały piękne stylowo sylwetki, ich „epizody” mówiły, żyły i ruszały się szlachetnie. Jerzy Leszczyński jako zawadziak, prawy żołnierz miał impet, jowialność, sangwiniczną prawdomówność. Różycki w nieco sztywnej roli następcy tronu był staranny, unikając niebezpieczeństwa reżenerstwa. Stanisławski może na zbyt tylko jeden ton zniewieściałości Krasickiego wydobył. Brydziński uporał się z rolą Ziethena, a Chmurkowski i Wroncki poprawnie wykonali rolki dworaków.

Całość artystyczna i staranna.

L. Ch.

TEATR

WIELKA

REWJA

Hanka Ordonówna i

Igo Sym w duecie

„Widowiska”.



„WIDOWISKO Nr. 1”

Kierownictwo artystyczne Hanka Ordonówny

I znowu teatr rewjowy; nowe kierownictwo, trochę nowych sił i nowych pomysłów, ale za to zupełny brak nowych dowcipów. Wprawdzie kierowniczka artystyczna zaprosiła do współpracy młodych poetów w rodzaju p. Gałczyńskiego, ale to rewji na dobre nie wyszło. Być może, że p. Gałczyński jest zdolną i obiecującą siłą, ale odrazu bardzo zraża do siebie nieudolnym „Hymnem”, czyli przeróbką „Ody do młodości”. Są jednak rzeczy, które nie muszą być konieczne popularyzowane przez rewję, aby mogły trafić do publiczności. Każdy kto zna „Ode” (a zna ją chyba każdy) nie będzie mógł spokojnie słuchać tego „Hymnu”, śpiewanego jako finał w rytmie marsza - foxtrota.

Rewję ratuje jak może Fertner dwoma skeczami, w których jak zwykle jest świetny. O ileż więcej braw brzmiałoby na widowni, gdyby teksty były dowcipniejsze.

Miły i ładny Igo Sym również dobrze się czuje w lekkich pio-

senkach, jak i przy fortepianie w nastrojowym „Nocturnie”. Jego numer solowy „Tiritomba” jest jednym z najlepszych w programie.

Wdzięk i poezję reprezentują 3 siostry Burskie. W piosence „Rwanie bzu” sympatyczne ich głosiki są ładnie szarmonizowane.

P. Ordonówna ma pomysłów i wspaniałe toalety, ale również bardzo słabe teksty utworów. Jedynie może „Górnicy” Paczkowskiego zatracają o głębszą nutę.

Doskonałe jak zwykle Halama, Ankiewiczówna i Nobisówna (bardzo miłutko śpiewa piosenki). Dokładają one wszelkich starań, aby całość dobrze wypadła. Niestety o ile poszczególne numery są dobre, o tyle niema między nimi żadnej łączności i całość przedstawia się tout court jako „widowisko”.

Należy podkreślić bardzo dobrze zredagowany program.

H.



*Fabryka Frykotaczy
Jan Matuszewski
102 Marszałkowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat*

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

CIERPIENIA MŁODEGO MONTERA

Zaczął się zupełnie niewinnie. Prostu pewnego razu znalazłem na ulicy kawałek ebonitu i pęczek drutu. — Ebonit, jak ebonit, pomyślałem, ale drut może się przydać. Mam akurat w domu potłuczony wazon z sewskiej porcelany, który wziąłem sobie na pamiątkę z jakiegoś muzeum, więc go złoże i nikt nie pozna uszkodzenia. Zabrałem się ochoczo do pracy. Popołudniu przyszedł Tolek. — Co robisz? pyta. — Reperuję wazon. — Drutem? — Drutem. Zastanowił się chwilę, obejrzał kawałki porcelany, świder, którym wierciłem otwory, duszę od żelazka, pilnik do paznogi, cały mój warsztat narzędzi, niezbędnych w takich wypadkach. — Naprawdę, powiada, szkoda takiego pierwszorzędowego drutu do tej skorupy. Oburzyłem się. — Ależ to jest prawdziwy antyk, w gazetach o nim pisali, kiedy zginął z muzeum.

— Gazety lubią przesadzać. Skorupa zawsze pozostanie skorupą, a z tego drutu możemy zrobić rzecz pożyteczną.

Zapaliłem się do tej myśli. — Ale co? Gramofon już mam, wieszadło do ubrań mam, możnaby sprężynowy materac, ale to podobno trudno zrobić samemu.

Naradzaliśmy się do późnej nocy. Świtało już, kiedy Tolek wpadł na znakomity pomysł. — Zrobimy radio! Drut już jest, ebonit jest, narzędzia są, trzeba tylko ze trzy lampy, skrzynkę, parę oscylatorów i będziesz miał przyjemność na całe życie.

Pokusa była silna. Jak wszystko jest, to dlaczego nie zrobić sobie przyjemności na całe życie? Postanowiliśmy zbudować odbiornik.

Z początku szło nam nieźle. Tolek przyniósł dwa falomierze do borowania dziur, trochę terpentyny i schemat ideowy. Schemat polaliśmy terpentyną dla impregnacji, potem Tolek dotknął

palącą zapalką, żeby zobaczyć, czy się pali. Paliło się. Uznaliśmy to za dobry omen. Z ebonitem było trochę gorzej. Chcieliśmy wywiercić w nim otwór o średnicy dwóch mikrofaradów, żeby zawieszać aparat na ścianie. Próbowaliśmy najpierw gwoździem, potem falomierzem, wreszcie duszą. Po półgodzinnym rytmicznym uderzaniu ebonit pękł. Drobnostka, zbudujemy odbiornik stojący. Kupiłem więc w sklepie parę lamp na prąd stały i trochę drobnych części. Tolek twierdzi, że przede wszystkim trzeba mieć lampy, znacznie lepiej się pracuje, kiedy jest jasno. Duże trudności mieliśmy z wykonaniem chassis. Po jakiego diabła chassis, kiedy niewiadomo nawet, co to jest, ale Tolek uparł się. — Bez chassis, powiada, współbieżność strojenia będzie nieregularna i opór masowy nie wzmocni siatkowego demulatora. Ha, jak już opór masowy, to niema rady. Pamiętam przecież, co było z Ghandim. Ustąpiłem. Piłowaliśmy przez trzy dni. Tolek wziął urlop z biura, żeby nie odrywać się od pracy, ja zaś wysłałem żonę na miesiąc do krewnych. Całe mieszkanie zamieniliśmy na warsztat. W kuchni grzały się kolby do lutowania, do kredensu przykręciłem śrubaszta, w bieliźniarce systematycznie poukładane leżały narzędzia, nawet toaletka przydała się do prostowania gwoździ i pogiętych haków. Miała bardzo twardy blat. Piłowaliśmy na zmianę. Najpierw ja trzymałem a Tolek przycinał deski, potem on trzymał a ja manewrowałem pilą. Po trzech dniach chassis było gotowe. Wyglądało jak duża psia будa, z drzwiczkami z przodu, otworami w kształcie okien, całe pokryte papą. Tolek twierdził, że papa doskonale izoluje od wszelkich wpływów ubocznych. Spoglądaliśmy z dumą na nasze dzieło. Połączenie czarnej smołowanej

ASPIRINA

wyrabiana obecnie w kraju,

staniała!



We wszystkich aptekach nabyć można
pudełko zawierające 20 tabletek już za

zł. 2.25

pudełko zawierające 6 tabletek już za

zł. 0.90

papy i białych desek dawało efekt wprost znakomity. Chodziło jeszcze tylko o to, co zrobić z całą skrzynią. Opadły mnie wątpliwości. Może zadużać albo zamała, może drzwiczki niepotrzebne, może otwory wycięte w nieodpowiednim miejscu. Tolek próbował przekonywać mnie, a kiedy już ustępowałem, sprowadził pewnego swego znajomego fryzjera, wielkiego fachowca w dziedzinie radjotechnicznej, który miał wydać opinię o naszej pracy. Byłem bardzo zadowolony z tego obrotu rzeczy. Co trzy głowy to nie dwie. Fryzjer przyszedł, obejrzał chassis, ostukał, opukał i poszedł. Za tydzień miał nam dać odpowiedź, jednakże już po dwu dniach przysłał listownie wynik ekspertyzy. Okazało się, że Tolek nie miał racji. Skrzynia była do niczego; chassis powinno być z blachy, a nie z desek i znacznie mniejszych rozmiarów. Byliśmy zdruzgotani. Cała praca poszła na marne. Tolek, który jako projektodawca ponosił całą winę, ofiarował się natychmiast ze swoją blaszaną wanną, z której chciał wyciąć laubzegą nowe chassis. Odmówiłem grzecznie ale stanowczo. Nie potrzeba, dam sobie radę i bez chassis, zastąpię je wzmacniaczem wielkiej częstotliwości. Żeby zaś się nie zmarnowało, ustawiliśmy skrzynię na podwórzu w charakterze gołębnika. Nawet zupełnie nieźle się prezentuje. Tylko gołębie nie chcą w niej siedzieć. Nie mają zaufania.

Po tym niefortunnym eksperymencie postanowiliśmy pracować planowo. Kupiłem trochę drobnych części, co razem z poprzednimi stanowiło po każdym zbiorze kondensatorów, transformatorów, cewek, dławików, zaczepów i jeszcze paru instrumentów o nieokreślonym znaczeniu. Trudność polegała na tym, że niewiadomo było, co z czym połączyć. Sięgnęliśmy do literatury fachowej. Jak już nie można inaczej, to trzeba udać się do książek. Odrazu robi się człowiekowi jaśniej w głowie. Naprzykład piszą: „zaczep powoduje autotransformatorowe sprzężenie obwodu anodowego pierwszej lampy z obwodem strojonym następnego stopnia odbiornika”. Oczywiście! Gdybym

wiedział o tem przedtem, nigdybym takowego zaczezu nie kupował. Poco utrudniać sobie życie? Rzuciliśmy te-
orję. W sprawach techniki trzeba po-
legać na własnym zdrowym rozumie
i t. zw. intuicji. Zaczęliśmy łączyć
wszystkie części po kolei. Najpierw
transformatory: szeregowo, dwuszere-
gowo, w rzędzie, dwójkami, czwórkami.
Nic nie wyszło. Potem kondensa-
tory: według wielkości, według ceny,
gatunku, koloru. Nic nie wyszło. Po-
tem kondensatory z transformatorami
we wszystkich możliwych kombina-
cjach. Nic nie uic. Łaczyliśmy drutem,
sznurkami, jedwabną tasiemką, włą-
czaliśmy do obwodu elektryczne że-
lazko, budzik, samowar, koło rowero-
we. Ani drgnęło. Ogrzewaliśmy cały
ustrój pod blachą do wysokiej tem-
peratury, potem polewaliśmy dla za-
hartowania zimną wodą, spirytusem
kamforowym, koniakiem, rozpuszczo-
nym buljonem w kostkach. Nic, naj-
mniejszego dźwięku. Dopiero gdy To-
lek przepuścił przez wszystko prąd o
napięciu 220 volt, rozległ się syk,
trzask i z całej konstrukcji została
kupka szmelcu. Byliśmy oczarowani.
Więc jednak nastąpiła jakaś reakcja.
Aparat działał, tylko prąd był za silny,
ale to już wina elektrowni. To pierw-
sze powodzenie natchnęło nas otuchą.
Ze zdwojoną energją zabraliśmy się
do pracy. Tolek kupił nowy fabryczny
odbiornik, który miał być dla nas pier-
wowzorem. Rozebraliśmy go na części,
mniemając, że w ten sposób odkryje-
my tajemnicę budowy. Prózne nadzieje!
Rozłożyć to było łatwo: tutaj jakaś
śrubeczka, tam młotek, parę uderzeń
duszą od żelazka i sprawa załatwiona.
Odbiornik był zdemonstrowany. Złożyć
było trudniej. Jedno do drugiego nie
chciało pasować, co prawda w czasie
demontażu niektóre części trochę się
połamały, ale to świadczy jedynie o
niskiej wartości wyrobów seryjnych.
Wyrzuciliśmy grat do śmietnika. Em-
piryczny sposób podejścia do zagad-
nienia okazał się najwłaściwszy. Wró-
ciliśmy na drogę prób. Korzystając z
poprzednich doświadczeń, zaczęliśmy
łączyć poszczególne części według al-
fabetu. Więc antenę z anodówką, de-
tektor z dławikiem, opór z oscylato-
rem. Był to sposób o tyle wygodny,
że łącząc ze sobą części zaczynające
się np. na literę K, wystarczyło tylko
zajrzeć do słownika, by przekonać się,
że następnym układem ma być układ,
którego składowe zaczynają się na li-
terę L. Tolek promieniał. Jeśli taki
system nie prowadził do niczego, to w
każdym razie odkryliśmy nową meto-
dę montażu. Ale prowadził. Po tygod-
niu aparat był gotów. Ze względu na

DOBRY POCZĄTEK ROKU,

Dobrze zaczął się rok nowy mieszkańcom Strzemieszyc, gdyż
tam właśnie padła zaraz w pierwszym dniu ciągnięcia czwartej
klasy 34-ej Loterii wygrana 100.000 zł. na Nr. 123.694.



Jedną z ćwiartek podzielili się pp. M. Herszman, elektryk i
Bogusław Kmiotek, pomocnik maszynisty kolejowego.



Druga ćwiartka znajdowała się
w posiadaniu pana Władysła-
wa Olczyka, emerytowanego
maszynisty.

Kilku współników nabyło trzecią
ćwiartkę szczęśliwego losu i w ich
imieniu zainkasował wygrane
20.000 zł. p. Józef Rejmanek,
tokarz w fabryce „Sztrem” w
Strzemieszycach.

Ostatnia ćwiartka
zawędrowała do Ło-
dзи i znalazła się
tam w posiadaniu



p. Marji Krakowiń-
skiej, krawcowej, znaj-
dującej się w nader
ciężkim położeniu.

Wszyscy uczestnicy szczęśliwego losu są bardzo zadowoleni, że
ciągnięcie IV-ej klasy trwa jeszcze, gdyż daje im to możliwość
wzięcia udziału w losowaniu miliona, które odbędzie się 21 b. m.
Naturalnie będą oni też grali w nadchodzącej 35-ej Loterii
Ciągnięcie I-ej klasy tej Loterii rozpocznie się 20 lutego.

wielką ilość części oraz trudności w ich rozmieszczeniu, zamknęliśmy całość pięknym, malowanym na stary mahoń, kufrze, ze złotymi okuciami, który Tolek odziedziczył jeszcze po nieboszczce babce, wielkiej miłośniczce antyków. Trzy wielkie ebonitowe gałki sterczały dumnie sprzodu, jakby czekając, by jednym ich dotknięciem wprowadzić w ruch całą maszynę. W ruch, bo przemyślnie dodaliśmy do kufra cztery metalowe kółka, licząc na to, że jeśli aparat nie będzie grał, to może będzie jeździł.

Kiedy nadeszła wreszcie uroczysta chwila, Tolek w nowym garniturze, w reniferowych rękawiczkach, rozparł się wygodnie w fotelu, włączył prąd i przekręcił gałkę. Nastąpiła chwila ciszy i nagle jakby przez mgłę doszły do naszych uszu pierwsze tony Preludjum Rachmaninowa. Z radości chciałem podskoczyć do góry. Wzrok mój padł na aparat. Stara pseudomahoniowa skrzynia stała ponura i nienajak, jakby drwiąc z nas swymi tombakowymi okuciami. Teraz już wyraźnie słyszałem; nie przez mgłę a przez ścianę dochodziły nas dźwięki. Aparat sąsiada ryczał całą mocą swych pięciu lamp. Dzięki metalowym kółkom kufra bardzo szybko znalazł się na ulicy. Kiedy wpadł na niego pędzący autobus byliśmy prawie zadowoleni.

Od tego czasu grywamy w szachy.

Wytworne krawiectwo męskie

H. LIPSZYC

Gmach Opery — Pod Filarami

WŁOSKIE TOWARZYSTWA OKRĘTOWE PROSTUJĄ NIEPOKOJĄCE POGŁOSKI.

Włoskie towarzystwa żeglugowe wydały wspólny okólnik, który prostuje wiadomości prasowe, dotyczące wysokich stawek asekuracyjnych, mianowicie wód śródziemnomorskich, pomijanie przez statki portów włoskich i t. p.

Komunikat wyjaśnia, że stawki ubezpieczeniowe od ryzyka wojennego nie zostały podniesione, lecz przeciwnie, spadły o połowę. Włoskie towarzystwa żeglugowe biorą na siebie całkowitą odpowiedzialność za różnice w stawkach od towarów ładowanych w portach włoskich. Żadne towarzystwo żeglugowe morskie nie podwyższyło stawek frachtowych, zarówno importowych jak i eksportowych. Ładunki tranzytowe nie podlegają żadnej kontroli. Komunikat głosi: rząd włoski uroczyście zaręcza, że na wodach włoskich nie ma min i że wiadomości podawane w tej sprawie są złośliwymi pogłoskami, nieopartymi na żadnych podstawach.

Genoa 12/XII: Ruch pasażerski na włoskich liniach morskich osiągnął pełną aktywność pomimo wejścia w życie sankcyj, a na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że odnosi się to specjalnie do linii, łączących morze Śródziemne z dominjami brytyjskimi.

Naprzykład mitorowiec „Viminale” odplynał do Australji z kompletem pasażerów, nie dysponując ani jednym wolnym miejscem, gdzie w 90% byli to pasażerowie cudzoziemcy. Również na najbliższy odjazd okrętu „Giulio Cesare”, odjeżdżającego 19-go b. m. do Capetown, większą część zgłoszeń stanowią pasażerowie cudzoziemcy.



KATALOG PRASOWY PARA.

Na rynku wydawniczym ukazał się X-ty rocznik Katalogu Prasowego PARA. Wydawnictwo to, przeznaczone nie tylko dla przemysłu, handlu oraz instytucji finansowych, uprawiających reklamę, ale i dla wszystkich, którzy się interesują rozwojem prasy polskiej, posiada już ustaloną opinię i cieszy się zasłużonym uznaniem. Ukazuje się ono w miarę zachodzących zmian w ruchu wydawnictw periodycznych i jest najstarszym podręcznikiem w tej dziedzinie. Czytamy bowiem na pierwszych stronicach najnowszego rocznika, że właśnie nakładem biura „Par” ukazał się w roku 1921 „Pierwszy Polski Spis Gazet i Czasopism Rzeczypospolitej Polskiej”.

Najnowszy, niejako jubileuszowy rocznik X-ty Katalogu Prasowego PARA jest owocem długoletnich doświadczeń wydawcy, który nie szczędził trudu, by oddać do użytku podręcznik naprawdę przydatny. Znajdujemy w nim całokształt prasy polskiej w kraju i zagranicą z mapką Polski, uwidaczniającą miejscowości, w których wychodzą gazety, tudzież wykaz najważniejszych dzienników politycznych, jak i pism specjalnych w Europie. Na uwagę zasługuje również wzorowe ujęcie graficzne i solidna całopłocienna oprawa Katalogu. Nabyć można w księgarniach lub oddziałach biura ogłoszeń „Par”.



Jak rysują dzieci japońskie



Zabawa w wolanta.

Mam przed sobą albumik *) z kolorowymi rysunkami, wykonanymi przez dzieci, ściślej mówiąc, przez dziewczynki z „Minnanami, Himi-gun, Toyama”, jak głosi nagłówek załączonego doń listu.

Tematem rysunków jest przede wszystkim zabawa. Mimo kolorowości nie są to jednak obrazki, gdyż uwaga rysujących skierowana jest przede wszystkim

*) nadesłany w darze zamiennym Kołu Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża Nr. 119 w Warszawie przez grono japońskiej dziatwy szkolnej, należącej do tejże międzynarodowej organizacji.

na rysunkową stronę pomysłu. Tak więc, rysowany jest najpierw kontur ciemną kredką, za którą często ołówek, a potem, w tym bardzo widocznym konturze wypełniane są kolorami puste płaszczyzny, przy jednoczesnym wyzyskiwaniu barwy papieru. Rysunek obrazków stanowi ciągłą linię, bez przerywania.

Sądząc z kompletu tworzącego wspomniane album, głównym

przedmiotem rysunkowego zainteresowania jest dziecko. Wyrysowane figurki umieszczane są zazwyczaj na tle domowego ogniska, lub na tle natury. Rysunki te są tak plastycznie skomponowane, że możemy z nich odczuć atmosferę kraju, wyrobić sobie pojęcie, jak ubierają się dzieci i t. d. Kompozycja tych czarujących, pełnych egzotyizmu scenek jest bardzo ciekawa, wskazuje bowiem na to, jak orientują się „twórcy”, może podświadomie, w środkach dla wydobycia osób pierwszoplanowych, stworzenia wnętrza mieszkań, czy tła natury. W mieszkaniu widzimy np. zaznaczoną zgrubsza architekturę: ścianę, podłogę, duże okno podzielone licznymi szprosami na kwadratowe szybki.

Postacie są dobre zarówno w spoczynku, jak w ruchu, zwłaszcza w ostatnim wypadku wyrażają dużą żywość.

Z używanych najczęściej kolorów możnaby wnioskować, do jakich barw mają małe Japonki szczególnie zamiłowanie, uwzględniając tradycję w kolorach ubiorów.

W przedstawianiu mieszkania kolory te zbliżone są mniej więcej do siebie, a więc podłoga jest np. pomarańczowo-żółta, albo ciemno-brunatna, czemu odpowiada zazwyczaj kolor szprosów okna. Parapety są brązowe, czerwono-



Zabawa w podrzucanie moneczek.



Zabawa w wolanta we dwoje.

brązowe, przyczem szyby mają białe tło papieru, lub podkolorowane są kilkoma kreskami żółtymi i niebieskimi. Ścianom nadają kolory soczyste, jednolite — jak np. seledynowy. Przy opracowywaniu natury barwy są czasem wprost fantastyczne, świadcząc o zamiłowaniu dzieci japońskich do jaskrawości. Za przykład posłużyć może użycie do ziemi, na której rosną rzadkie zielone trawki, fioleto i to z zabarwieniem różowym. Czasem jednak kolory są zupełnie naturalne.

Warto się też przyjrzeć barwom, używanym do odtwarzania ubranek. Należy zaznaczyć, że często kolor ubrania zaczerpnięty bywa z otoczenia, co, między innymi, można tłumaczyć nie tylko upodobaniem sobie akurat specjalnie jakiejś barwy, lecz i chęcią nieodkładania danej kredki, lub niecierpliwością dziecięcą, dążącą do szybkiego wykończenia pomysłu. Sukienki o rozszerzających się u dłoni rękawach, mają przeważnie kolor pomarańczowy z żółtymi lub czerwonymi plamkami, lub fioletowymi trapezikiem; czerwień sukienek urozmaicają czarne kółeczka i t. d. Dzieci ubrane są często w fartuszki białe (tło papieru rysunku), czasem ozdobione geometrycznym kolorowym wzorem. Niekiedy noszą dzieci strój japoński. Te kimonowe, wzorzyste ubrania są najpięk-

niejsze, zwłaszcza przy zestawieniu z wyrazem skośnych oczu i czarnymi główkami.

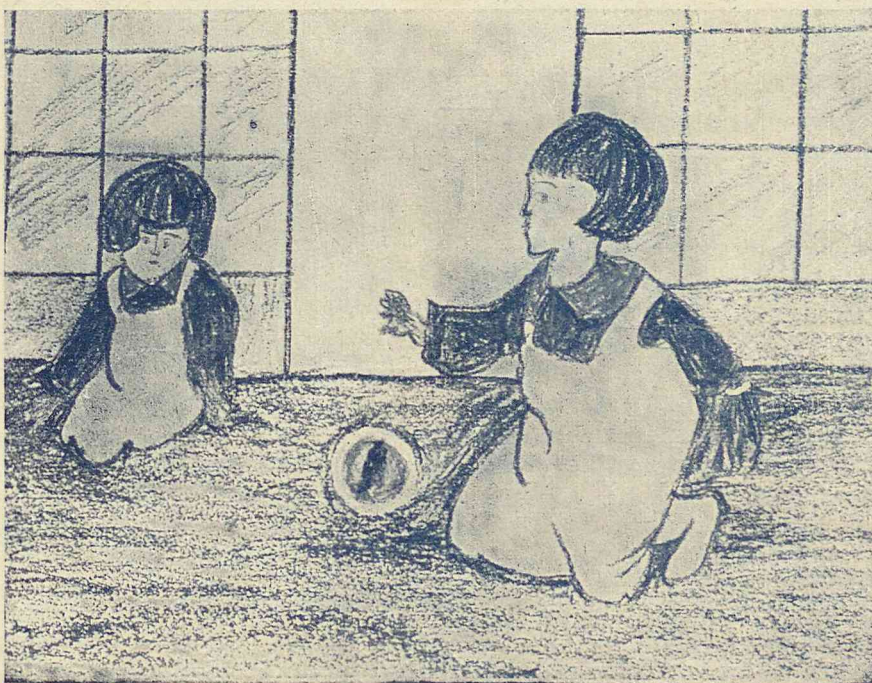
Trudno pominąć ciekawy szczegół, mianowicie, jakie wzory ma kimono, widziane oczyma dzieci japońskich?

Przedewszystkiem są one nadzwyczaj barwne i zestawione zadziwiająco umiejętnie. Są tu kimona niebieskie, przybrane pomarańczowymi kółkami, spięte

szerokim żółto-czerwono-niebieskim pasem. Są i o bardziej skomplikowanych barwach, jak np. czerwonej z zielono-niebieskimi trójkącikami, lub całkowicie złożone z kwadracików o barwach pomarańczowo-zielono-niebieskiej, lub z żółto-zielonych kół na fioletowym tle, aż do całych mozaiek, na które składa się przebarwne mnóstwo kwiatów, trudnych wprost do określenia, tak bogaty jest ich rysunek i skomplikowane zespoły barw.

Jak wspomniano na wstępie, ulubionym tematem tych rysunków jest zabawa. Dzieci japońskie lubią sobie same przygotowywać zabawki, uważając tę czynność za dorównyującą pod względem przyjemności samej zabawie. Do zabaw tych należy i piłka. Bawią się również podrzucaniem wzorzystych woreczków, napęcznionych kamykami. Najpopularniejszą jednak jest zabawa w tak zw. wolanta. Przypomina ona trochę grę w „Ping-pong“, polegając również na odbijaniu drewnianymi łopatkami kuleczek, które w tym przypadku zaopatrzone są w piórka, ułatwiające lot. Wszystkie te akcesoria, a więc kulki, piórka, łopatki są barwione najrozmaitszymi kolorami, wzmagającymi ich efekt.

M. Szymański.



Zabawa w piłkę.

Urok zimy



Snieg wywabił młodzież na tory saneczkowe.

WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO **HEMOROIDOM**,
WYNIK KURACJI ŚWIADCZY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA
ZOPKI „**VARICOL**” GĄSECKIEGO
STOSUJE SIĘ PRZY **BÓLACH, KRWAWIENIU**
SWEDZENIU, PIECZENIU i INNYCH OBJAWACH
HEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH
HEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ **MAŚĆ „VARICOL”**
„**VARICOL**” GĄSECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW



PIERWSZA

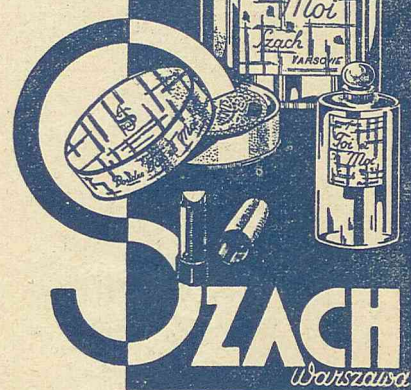


LECNICA

Kosmetyczna i Chorób włosów
Dr. med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.



**PERFUMY
WODY
PUDRY
POMADKI**



Higienistki przyrodolecznicze

„Pierwsze w Polsce dwuletnie Kursy Przyrodolecznicze dla pomocniczego personelu lekarskiego” założone są z inicjatywy p. dyr. Iny Kisielewskiej. O potrzebie szkolenia takiego personelu wypowiadały się nieraz zjazdy Lekarskie. Wykłady prowadzi 20 lekarzy, wybitnych specjalistów, z kierownikiem naukowym na czele.

Higienistki otrzymują wiedzę z podstawowych wiadomości medycznych i specjalizują się w dziedzinie przyrodolecznictwa: wodo-światło - elektro - lecznictwie, mechanoterapii, Rentgenie, oraz dietetyce. Ćwiczenia odbywają w doskonale urządzonych szpitalach Centr. Wysz. Sanitar. (ujazdowskim), im. Marsz. J. Piłsudskiego (mokotowskim) oraz produkujących uzdrowiskach.

Uruchomienie kursów jest jeszcze jednym tryumfem polskiej myśli twórczej, nawet na forum międzynarodowym, ponieważ tego typu zakładu naukowego brak nawet zagranicą. Jest to nowe pole pracy zawodowej o wielkiej przyszłości.

O kursach, które posiadają wzorowy lokal, pomoce naukowe, internat i t. d. informuje Sekretariat Kursów Przyrodoleczniczych dyr. I. Kisielewskiej i dr. med. M. Biernackiej w Warszawie, Szopena 16.

MEBLE wykwintne poleca
w wielkim wyborze
S. RADELICKI



oraz
TAPCZANY
fotele klub.,
kuchnie
N. ŚWIAT 30
róg Pierackiego

TRYKOTAŻE
POŃCZOCHY

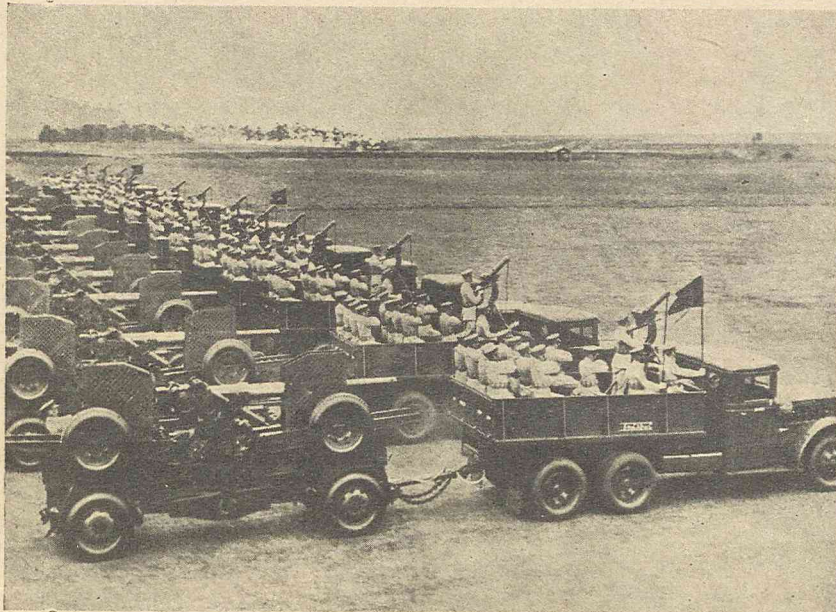
TRICOT

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 123

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim telefonicznym porozumieniu z sekretarjatem, Telefon 2-10-87.



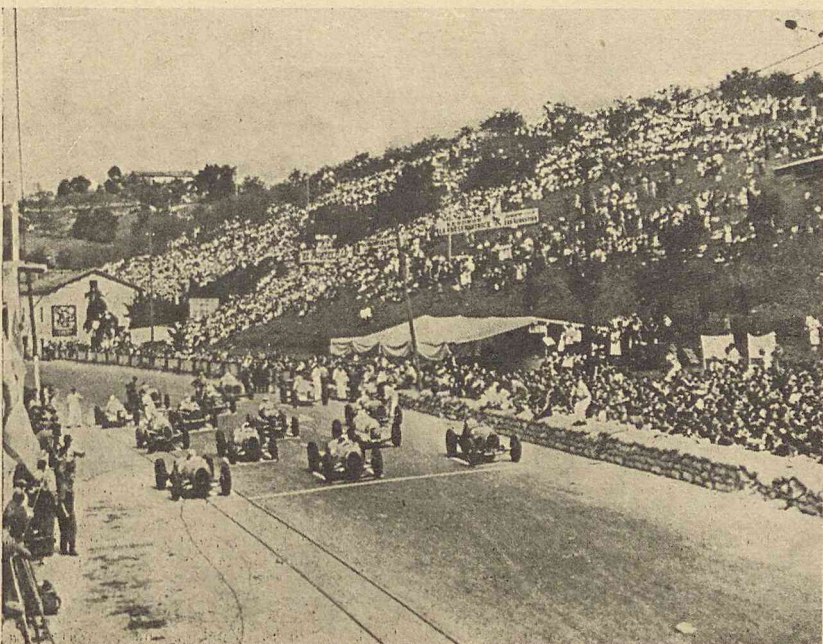
vice-prezydenta Stanów Zjednoczonych John Garner'a podczas wielkiej rewii wojskowej wystąpiły oddziały zmotoryzowane z artylerią ciężką — samochodową na czele (zdjęcie na lewo).

W Paryżu odbył się doroczny wyścig powolności. Polega on na tym, że samochody i motocykle wjeżdżają na wzgórze dzielnicy Montmartre w jak najpowolniejszym tempie. Badanie tej strony

Motoryzacja jest jedną z głównych cech współczesnego życia. Państwa ponoszą poważne ofiary na ten cel. Przemysł doskonali się, rozwija, dokonywa wynalazków, rozszerza rynki zbytu, udostępnia i ułatwia zakupy. Aby jednak tak niezbędna dla gospodarki państwowej i dla bezpieczeństwa motoryzacja czyniła stałe postępy, potrzeba i dróg i takiego nastawienia czynników skarbowych, aby nie traktowano samochodów jako luksusu, a ich posiadaczy jako rozrzutnych lekoduchów.

Zanim dożyjemy „powszechności” samochodu w Polsce, przyjrzyjmy się chociaż, jak jest... gdzieindziej.

W Honolulu w czasie wizyty



dokładności motoru odbywa się zazwyczaj wśród tłumu ciekawych piechurów (zdjęcie powyżej).

Fotografia nasza przedstawia dwóch kandydatów do I-ej nagrody, dwóch ostatnich zawodników: samochód i motocykl.

W Monte - Carlo natomiast wśród tłumów wyległych na wzgórze pełne słońca i wiosennych kwiatów odbywa się poprzez ulice miasta, po awanturniczej serpentynie szosy wyścig 5 kilometrowy pod górę. Niebezpieczeństwo tego wyścigu jest wielkie (zdjęcie obok).

Wszędzie, wszędzie motoryzacja idzie wielkim krokiem, samochód się popularyzuje, staje się przedmiotem codziennego użytku.

ŚWIAT FILMU

„Musisz być moją” — Rialto

Grace Moore — jasnowłosa słowik ekranu o srebrzystym głosie oraz zgrabnej, młodzieńczej figurce i milej, ładnej twarzyczce. Wszyscy pamiętają jej szampańską komedię „Idziemy po szczęście” i wszyscy, którzy mieli szczęście ją oglądać, odczuwają zawód, wychodząc z kina Rialto.

W barwnej i żywej komedji bujny temperament Grace Moore znajdował naturalne ujęcie w szalonym ruchu, w wirze płynnego walca i w beztroskim humorze. W mglistym scenariuszu dramatu, o niezrozumiałej, ciężkiej i sztucznej akcji, te naturalne jej walory nikną. Zostaje jedynie znakomity głos, pięknie brzmiący w szeregu aryj z Cyganerii.

Treść filmu nikła. Rozmiłowany w muzyce właściciel podrzędnego nocnego lokalu i domu gry zakochał się w początkującej

ŚLUB GWIAZD.

Lili Damita, znana artystka filmowa francuska, poślubiła w tych dniach „gwiazdora” Errola Flynn. Widzimy młodą parę w chwili przybycia do Nowego Yorku, gdzie odbyła się premiera filmu, pod tytuł „Kapitan Blood”, z Errolem Flynn, w roli tytułowej.



SHIRLEY FLIRTUJE.

Mała ulubienica publiczności — Shirley Temple, w kostjumie à la prababki... flirtuje przez telefon w sposób zupełnie moderne jak młoda i urocza dama.

śpiewaczce, a właściwie w odkrytym przez siebie jej głosie. Z niezwykłą hojnością wyrzuca pieniądze, aby umożliwić jej zdobycie rozgłosu i sławy, chcąc jednocześnie zagarnąć jej serce. Gwiazda zdobywa sławę i powodzenie, a gangster — o dziwo — jej uczucie.

Film powinienby właściwie nosić tytuł: „Nie zrozumiesz kobiety” lub coś podobnego. Przez cały czas ma się wrażenie, że bohaterka kocha młodego, przystojnego milionera, aż nagle, zupełnie niespodziewanie, okazuje się, że obudziło się w niej uczucie dla niesympatycznego gangstera, finansującego jej karierę. I to w takim momencie, kiedy rozgłos jest już zdobyty, a majątek impresarja stopniał. Ten wątpliwy happy end stanowi przykry dysonans.

Grace Moore zasługuje, by ją pokazać w godnej jej oprawie — film zaś, mimo wielu niedociągnięć, warto zobaczyć a głównie usłyszeć.
J.

DAN- CING **PARADIS** NOWY- ŚWIAT 3

W programie styczniowym występują: słynna tancerka Hiszpanka Carmen Ribalto, znana wykonawczyni hiszpańskich tańców narodowych, oraz znana tancerka bułgarska — Lidja Spassowa. Orkiestra St. Ferszt, na czele słynny skrzypek — Herman Rosner. UWAGA: Wprowadzona została od dnia 1 grudnia w dniu powszednie, za wyjątkiem dni świąt, i przedśw. ulgowa konsumpcja, zamiast zł. 2.50 — tylko 1.50 — wyłącznie dla gości przybywających między g. 10 a 11 w. celem umożliwienia obejrzenia programu wieczorowego i nocnego.